Świat Kobiecy

ROK IX | 15 SIERPNIA 1929 | N-R 16



ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 16 — ROK IX — WARSZAWA — LWÓW — 15 SIERPNIA 1929 ROKU

„NA FRONCIE ZACHODNIM SPOKÓJ"

Zdawałoby się, że tak bujnie w swoim czasie rozkrzewiona literatura „wojenna" już się ludziom przejadła.

Aż oto w roku 1928, a więc w piętnaście lat po wybuchu wojny światowej, zjawia się na rynku księgarskim książka zupełnie nieznanego autora (Erich Maria Remarque: „Im Westen nichts neues") — i zdobywa wstępnym bojem uznanie całego świata. W Niemczech nakład jej dochodzi do 700 tysięcy egzemplarzy, — a wydawcy zagraniczni dobijają się o nabycie prawa przekładu tego dzieła.

A przecież niema w niej nic rewelacyjnego, żadnych sensacyj, ani nawet intrygi miłosnej! — Ot, — szara nić życia młodego chłopaka, który niemal prosto z ławy szkolnej idzie na front, by walczyć za ojczyznę.

Język prosty, niewyszukany; autor ogranicza się niemal na suchem rejestrowaniu faktów, na przesuwaniu ziarnek tego różańca dni, strasznych w swojej monotonności, gdzie śmierć jest żołnierzowi kumą, gdzie ludzie upodobniają się dzikim zwierzętom, których myśli obracają się w ciasnem kółku kilku tylko pojęć: jeść, odpocząć i — zabijać, aby nie być samemu zabitym.

Książka ta, — to jedno straszne oskarżenie, rzucone całej ludzkości. Działa zaś tem potężniej, że autor nie operuje komunałami, nie bawi się w subtelną analizę, nie obwinia ani władców, ani dyplomatów, ani wodzów, ani wogóle nikogo, stwierdzając tylko poprostu fakty z tępą biernością i rezygnacją zwierzęcia prowadzonego na rzeź.

Przed oczyma naszemi przesuwa niby na ekranie tragedje jednostek, to straszliwe stępienie wszelkich uczuć szlachetniejszych na froncie, gdzie „homo homini lupus est". Nieraz kilku zręcznemi pociągnięciami pióra maluje sceny wprost przeraźliwe, potworne w swym realizmie.

Oto np. maszeruje kompanja szturmowa na front, — i po drodze napotyka na cały stos świeżutko oheblowanych, pachnących żywicą trumien, przygotowanych zawczasu przez zapobiegliwe dowództwo dla tych, co idą na śmierć niechybną.

Oto młody chłopak śmiertelnie ranny leży w szpitalu polowym z amputowaną nogą; dnie, godziny niemal jego życia są już policzone. Odwiedzają go koledzy z frontu, chłopaki zacne, serdeczne. I wszystkich przenika tylko jedna myśl: oto przy łóżku tego skazańca stoi para porządnych, całych i mocnych butów... mój Boże! gdyby je można dostać! jakżeby się one przydały tym wygłodzonym, obdartym chłopakom!

Oto ucieka z frontu młody chłop, żołnierz doskonały. Ucieka nie za granicę, do pobliskiej Belgji, — lecz w głąb kraju, by dostać się do rodzinnej wioski. Bo idąc na front spostrzegł drzewko czereśniowe okryte kwieciem, — więc porywa go i niesie nieodparta tęsknota za swą chałupą, za swym sadem. Byleby jeszcze raz oczy nakarmić tym widokiem!... Oczywiście łapią go — i ginie jako dezerter.

Oto znów dantejski obraz postrzelonych koni, które ryczą i krzyczą z bólu, tak przeraźliwie, że się krew w żyłach ścina.

Książka sprawia potężne i niezapomniane wrażenie. Wieje z niej rezygnacja, beznadziejny smutek i żal:

Młody jestem — pisze autor, — *mam lat dwadzieścia, — ale nie zaznałem w życiu niczego więcej, jak rozpaczy i śmierci i trwogi. Rzeczy najbardziej bezsensowne i powierzchowne zazębiają się o przepaście cierpienia. Widzę, jak pędzi się narody jeden na drugi, jak one w milczeniu, karnie, nieświadomie, głupio, niewinnie się mordują.*

A ze mną widzą to wszyscy moi rówieśnicy i tu i tam, na całym świecie, — ze mną przeżywa toż samo moja generacja.

Co zrobią ojcowie nasi, kiedy my raz powstaniemy i zażądamy zdania rachunku? Czegoż oni oczekują od nas z chwilą, gdy raz nareszcie wojna się skończy? Przez całe lata jedynem naszem zajęciem było mordowanie. Ono było pierwszym zawodem w naszem życiu. Nasza znajomość życia ogranicza się jedynie na śmierci. I cóż jeszcze potem stać się może? I co się stać może z nas samych?

Ważkie słowa, ciężkie i straszne oskarżenie! K. R.

DWIE POWIEŚCI AURELJI WYLEŻYŃSKIEJ

Wśród naszych prozatorek dobrze zasłużone imię zdobyła sobie Aurelja Wyleżyńska, autorka kilku powieści, studjów historycznych i literackich, oraz wielu feljetonów. Całą jej twórczość cechuje głęboka uczuciowość i mądra obserwacja, co w sumie daje pełnię życia.

Gdy się czyta powieści Wyleżyńskiej, musi się wierzyć, że smutek i krzywda — wyzwalają. Możnaby powiedzieć, że właśnie o taką drogę do wewnętrznej swobody walczy autorka i że trzeba wiele przecierpieć, aby zdobyć siebie. Szczególnie dwie książki Wyleżyńskiej mają tę psychologiczną tendencję: „Księga udręki" i „Czarodziejskie miasto".

Według Wyleżyńskiej gdzieś u początków powstaje błędne założenie życiowe, poczem nastąpić musi walka podświadomości z rzeczywistym układem wydarzeń. Stąd udręka, zmaganie się z przemocą faktów, z własnem urojeniem i nawykiem. Trzeba wreszcie przemienić w sobie wszystko, trzeba wyplenić w męce cały ten kompleks nierozpoznania i omyłek, aby wszystko zrozumieć. I od przywiązania do złudzeń zależy, czy ze zrozumieniem przyjdzie wiara w siebie, czy tylko rezygnacja.


AURELJA WYLEŻYŃSKA

„Nie masz pojęcia, jak gorzkie jest wszelkie zrozumienie. Co to za ból — wszystko zrozumieć! To znaczy powiedzieć sobie, że się na nic nie czeka, że się nie ma żadnej obrony, że nikt niczemu nie jest winien, to znaczy odebrać sobie prawo do szczęścia, nie mieć żadnego na całym świecie sprzymierzeńca, to znaczy odejść z uśmiechem przebaczenia na ustach od człowieka, który nam życie łamie." — Tak mówi w „Księdze udręki" Henryk. I to jest rezygnacja. O jego partnerce Krzysi mówi natomiast jej przyjaciółka: „Ona siebie odzyskała, a raczej odkryła, posiadła, czy stworzyła". Są to więc dwa punkty widzenia, obrane po rozpęknięciu się obręczy, opasującej kiedyś ułudę wspólnego porozumienia. Tę ułudę i proces przetwarzania się jej w rzeczywistość inną, umie autorka skrupulatnie i wiarogodnie przedstawić.

To co nam w tych dwuch powieściach daje Wyleżyńska, są to istotne studja psychologiczne, sięgające do głębi przeżyć i własnych przemyśleń. Czynnikiem współdziałającym w tym procesie przetwarzania się duszy ludzkiej jest niekiedy specyficznie naświetlone środowisko. I tak w „Czarodziejskiem mieście" — miastem tem jest Paryż — dzieje się to dzień po dniu. Wszystko, widziane jeszcze za mgłą smutku i krzywdy, narzuca się swoją własną ważnością i odrywa od wspomnień. I znowu rzeczywistość dotykalna, działająca na wrażliwość zmysłów i uczuć, zwycięża omyłkę serca i urojenie wyobraźni. „W dwa miesiące po przyjeździe do Paryża, pewnego dnia zbudziła się z dziwnem uczuciem. Jakby to nie ona wczorajsza..."

I dlatego, ponieważ Wyleżyńska wierzy w przeobrażenie, potrzebne są te świetnie zaobserwowane, pełne refleksyj „pejzaże" Paryża. Dobranem słowem umie autorka entuzjazmować się dla tego miasta, które zawsze będzie na nowo odkrywane w artystycznem rzemiośle i na nowo, a coraz inaczej wielbione. Tu cudzoziemka, nurzająca się w orgji patrzenia, bezustannie zdziwiona własnemi pomysłami kojarzeń, „głęboko zahacza się duszą o to miasto". A w jednem miejscu tej dziwnej powieści nie-powieści czytamy: „Oczy były czasem drapieżne i okrutne, czasem żarłoczne i zachłanne, a czasem dziecinnie spragnione nowości". Odbywa się więc w tej książce jakgdyby magja patrzenia, która cudownym sposobem leczy najdotkliwszy ból, aby wreszcie przetworzyć do gruntu i nakarmić nowym smakiem życia. — Wyleżyńska uprawia niejako kult odradzania się duszy ludzkiej. W obu omawianych powieściach nie ma więc tragicznego epilogu dla dramatów, choćby były najcięższe do zniesienia. Dusza człowieka przechodzi bowiem wielorakie fazy i potrafi z rozpaczy, jak z trampoliny zeskoczyć w nowe życie. Jest w niej instynkt samozachowawczy i mądrość — rzec można — przyrodnicza. Bo kiedy przychodzi czas cierpienia i jak podczas suszy wyczerpie się ożywczy zapas wpomnień, zaczynają się rozrastać korzenie, sięgając szerzej i głębiej, szukając nowych wrażeń i prawd na pokarm dla swego bytowania. Sentyment i uczuciowość znajduje wtedy swój przerzut w świat realny i dlatego koncepcje powieściowe Wyleżyńskiej są wyrazem energji: — przetrwania i wytrwania.

Utwory powieściowe Wyleżyńskiej mają jakgdyby swoje ustalone łożysko w konstrukcji duchowej autorki i płyną wśród wysokich brzegów do wyznaczonego celu. Stąd też tak trudno przeciwstawić im czyjeś odmienne racje, czy jakąś inną zasadę życia. Miłość jest w tych powieściach panującym i ożywczym duchem, mimo że z niej wywodzi się właśnie cierpienie. Ale autorka wie, że są to ablucyjne ceremonjały, które wiodą do nowych wzruszeń. Taką bowiem linją falistą jest uczuciowe życie.

Jest w tych powieściach ponadto jeszcze bardzo współczesne zagadnienie i bardzo śmiała konkluzja. Mianowicie wyzwolenie się psychiczne dzisiejszej kobiety, jej życiowy elan, jej zrozumienie własnej wartości i odnalezienie tej wartości nawet w odmęcie doznanych krzywd. Są to więc samodzielnie zdobywane tereny uczuciowości jako odpowiednik do niezależnej postawy dzisiejszej kobiety. A przytem wszystkiem niema tu nic z egoizmu czy demonizmu. Czułość kobieca posiadła jedynie sprężność, dostosowalną do warunków i zdolną do obrony swojej psychicznej wolności. Wynikają te wnioski z zasadniczego ujmowania problemu. Bo przecież nie możemy potępić Krystyny z „Księgi udręki", że skrzywdziła Henryka, skoro wiemy, że byłoby gorzej zatracić siebie i oszukiwać. Nie możemy również nie cieszyć się, że Marja („Czarodziejskie miasto") umiała zapomnieć, że wreszcie „odnalazła siebie. Zdobyła swoją prawdę — wieczną, odwieczną. Pokochała znów siebie — jako jedynie niezawodne, najczystsze źródło radości".

I tak jest właśnie dobrze, że kobiety Wyleżyńskiej nie są owemi pnącemi roślinami, szukającemi łaskawego wsparcia czyjegoś mocnego ramienia. Potrafią one same wejść w dziwy życia i nie zabłądzić, nie zbłądzić. Potrafią, gdy trzeba, wyszarpnąć się ze środowiska i z własnych mąk. Kierują sobą, przewalczają w sobie

same swoje cierpienia i w ten sposób zdobywają radosną świadomość przemiany.

Powieści Wyleżyńskiej należą do rodzaju psychologicznych, bo wszystko, co się dzieje, wszystko, co otacza bohaterów, jest przesiane przez pryzmat rozważań celowych. Impresyjność wypełnia te wydarzenia przymglonem powietrzem i zaciera wyrazistość konturu. Niemniej przeto osiąga autorka sukces w dziedzinie nastroju, trafia do wrażliwości czytelnika i zjednywa go sobie wysoką artystyczną kulturą.

HERMINJA NAGLEROWA

Z NASZYCH PROBLEMÓW

Życie współczesne stoi pod znakiem rewizji zasadniczych zagadnień. Sprawdza się wszelkie wartości: społeczne i polityczne, artystyczne i kulturalne, naukowe i potoczne. W tym zaś całym przewrocie, dla którego wojna była tylko skondensowanym wyrazem i ostatecznym przełomem, na czoło wysunęła się kobieta i jej społeczne i osobiste problemy.

Problem kobiecy jest niewątpliwie jeszcze nierozstrzygnięty. Dowodem — nasza własna świadomość tego, wyraźne poczucie, że „kobieta przyszłości" w najlepszym razie dopiero — chodzi do szkoły...

Świat kobiecy jest zaledwie w trzeciej fazie swojej nowej krystalizacji. Przeszedł najpierw emancypację — gwałtowną chorobę z twardym kołnierzykiem, krawatem po męsku, i... z wojną przeciw mężczyźnie, prowadzoną grubym głosem i męską metodą. Był to pierwszy wyłom w drzwiach gineceum, wdarcie się przemocą na pierwszy posterunek. Powinnyśmy zato nasze ciocie (bo żadna z emancypantek nie chciała być matką...) ucałować w czerwone i spocone ręce, a potem sztandar emancypacyjny odnieść do „Muzeum Kobiety". Rola jego jest już skończona; ciocie miały niewątpliwie dobre chęci i zdrowy instynkt, ale narobiły tylko dużo hałasu. Mężczyzna ustąpił i zasalutował nie przed emancypantką z 1913 roku, ale przed kobietą Wielkiej Wojny, która bez przygotowań, bez krzyku i ceremonij, prosto od kuchni, porządków i kołyski poszła zastąpić go w polu, warsztacie, w biurze, szpitalu i na posterunku wartowniczym.

Z wojną zaczęła się druga faza tworzenia nowej kobiety. Po krótkim okresie, który możnaby nazwać „naturalnym", bo kobieta spełniała swoje nowe obowiązki równolegle z dawnemi i nie myślała przytem o pozie, przyszła reakcja ujemna, może trochę związana z kultem, jaki przez wojnę wytworzył dla siebie — mężczyzna. Miejsce amazońskiej emancypacji zajęło „umężczyźnienie się" kobiet. Ostatnie lata wytworzyły legje „garsonek", wyprodukowały twory nijakie, lub niesamowite, a stawiając kobietę na wszystkich terenach współzawodnictwa z mężczyzną, starannie zacierały różnice. Mamy zdobyte rekordy w sportach, wynalazki (nieliczne) w nauce, nagrody w literaturze i sztuce. O ile zaś w dziedzinie fizycznej stało się rzeczą prawie obojętną, czy rekord osoby X wymaga tytułu „pana" czy „pani", o tyle indywidualność kobieca zarysowuje się trochę lepiej w nauce, a najwyraźniej występuje w twórczości i sztuce. Wniosek sam się wysuwa: kobieta najpewniej zachowuje siebie tam, gdzie może wykazać większy zasób indywidualnych sił.

Spójrzmy tylko na ilustracje pism: czy podobne są do kobiet niektóre sławne pływaczki, czy pilotki? Kobieta-fachowiec przybiera także niesłychanie wiele męskich cech. Sobą staje się dopiero kobieta-twórca; jej piękno wyłania się tu harmonijnie z czarem artysty.

Na pograniczu stoją kobiety-aktorki; łączą świat nowy z dawnym, w którym kobieta królowała tylko przez swoje wartości fizyczne. I wreszcie ostatnia kategorja — kobiet-konserwatystek, chroniących w gineceum własną nieudolność, słabość lub lenistwo.

Istnieje zatem szereg różnorodnych typów kobiecych. Wszystkie one — od pierwszej do ostatniej kategorji, wnoszą w życie niewątpliwe i poważne wartości. Brak w tem jednak syntezy. Kobiety nie rozumieją się same między sobą, nie współdziałają zgodnie i celowo, jedne drugim zarzucają naprzemian zacofanie, lub zepsucie. Z tych wszystkich różnic należy jednak stworzyć typ zasadniczy, któryby pozwolił wyżyć się w kobiecej formie wszystkim potencjom tak indywidualnym, jak ogólnoludzkim. Pytanie tylko, po jakiej linji iść do tej syntezy?

Mimo wszystkich feministycznych zapędów (nawiasowo trzeba stwierdzić, że feminizm tak samo nie ma sensu, jak klub starokawalerski) musimy przyznać zasadniczą rzecz: w reformie naszych przyzwyczajeń i naszego życia, w przejściu z bytowania wyzwolenicy do świadomego istnienia człowieka — poszłyśmy śladem mężczyzny i... z pomocą mężczyzny. Świat męski okazał wobec nas niewątpliwą galanterję i zaufanie, kiedy wprowadził nas w labirynt swego życia, otworzył nam swoje pracownie i tereny rozrywek. Inna rzecz, że mężczyźni mocno tego żałują. Dowodem ich, spóźnionego na szczęście, opamiętania jest opór, stawiany kobiecie, występującej jako samodzielna pracownica. Ale mniejsza o to. Tu chodzi o inną sprawę: o stopień naszego naśladownictwa i o procent kobiecości w naszej obecnej postawie.

Naśladownictwo wielkie, kobiecość dość mała, choć w ostatnich miesiącach można zauważyć pewną „hossę".

Staramy się mówić, myśleć i działać (gdy chcemy być „mądre") tak, jak mówi, myśli i działa — mężczyzna. Tem samem przyznajemy wyższość nad sobą mężczyźnie, a przyjmując od niego wzór, obcy naszej naturze, urobiony w czasie wiekowej izolacji intelektualnej i psychicznej, deformujemy naszą wrodzoną postać duchową.

A jest niezaprzeczonym faktem, że mózg kobiety inaczej pracuje, niż mózg mężczyzny. Nie można powiedzieć: lepiej, albo gorzej, poprostu — inaczej, tak, jak inaczej funkcjonuje jej organizm. Kobieta zdobywa prawdy naukowe, czy artystyczne, czy też życiowe, na innej drodze; jest to prawo, z którem trzeba się liczyć, bo z niego wypływa metoda postępowania i pracy.

Zapewne, że zarówno mężczyźni, jak kobiety, dadzą się w lepszych swoich jednostkach sprowadzić do wspólnego mianownika „człowieczeństwa". Ale w ramach tego, co ogólne, musi wystąpić to, co indywidualne. To też kobieta powinna nie zatracać się w powszechnym typie człowieka, ale w formie ogólno-ludzkiej zachować i wydoskonalić to, co stanowi jej dodatnią odrębność. Kobieta nowa powinna wiele zachować z przeszłości i zgodzić tradycję z dorobkiem nowych doświadczeń. Powinna może wszystko umieć, lecz nie wszystko czynić; wszystko wiedzieć, mówić — nie o wszystkiem. Umieć każdej chwili zastąpić mężczyznę w jego sferze, lecz — gdy nie trzeba — nie wdzierać się na jego teren.

Do czasów emancypacji istniał taki podział, że do mężczyzny należał — świat, do kobiety — dom. Skutek był taki, że dom nie wystarczał mężczyźnie, a kobieta gubiła się w świecie.

I dziś jest niewiele inaczej. Nad naszemi urządzeniami społecznemi ciąży tradycja — często bezmyślna i do wyrzucenia. My sami staliśmy się już inni, nowsi, a ramy naszego życia pozostały niezmienione. W dalszym ciągu dom uchodzi za „świat kobiecy", wyłączny i zamknięty, a świat — jest „domem mężczyzny". Tymczasem życie woła rozpaczliwie ustami kobiety: — nagnijcie trochę

do mnie wasz świat, — a ustami mężczyzny: przystosujcie choć trochę do mnie wasz dom!

Potrzeba reorganizacji sposobu życia. Świat powinien znaleźć odpowiednie miejsce dla kobiet, gdzie nie krzywdzonoby ich natury, zdolności, pojęć i indywidualizmu. Lecz nasz „kobiecy świat" — nasz dom — musi się także zmienić. A zmiana konieczna jest nietylko dla mężczyzny. Domaga jej się przedewszystkiem — nowa kobieta.

Ona bowiem nie jest już dzisiaj tylko bezosobistym regulatorem domowego ogniska. Jest sobą, chce i powinna żyć także dla siebie, jej dom ma być nietylko miły dla męża i ciepły dla dzieci, ale ma i dla jej indywidualności stworzyć odpowiednie oparcie. Kobieta żąda dziś od domu podobnych walorów, jakich dawniej żądał tylko mężczyzna: chce mieć w nim odskocznię dla swojej własnej pracy.

Ruina domów dawnego typu brała swój początek z wadliwego założenia; w „domu" hodowano tylko młode pokolenie, kosztem starszego. Czas zmienić ten barbarzyński pogląd na życie. Tak kobieta, jak i mężczyzna mają pełne prawo wyżycia wszystkich swoich walorów — i to do końca życia. Dom ma być wspólnym terenem równorzędnego wzrostu wszystkich, związanych z nim istot. Wtedy odpadnie spór, czy kobieta zamężna ma prawo być twórcą i samodzielnym towarzyszem męża, czy tej, która znaczy coś sama przez siebie, wolno mieć dziecko? Zreorganizujmy nasze domy, a odpowiedź sama się znajdzie. Przedtem jednak organizujmy — siebie.

W tem, żeśmy się odwróciły od naszych żeńskich wzorów, a zaczęłyśmy szukać ideału człowieczeństwa w mężczyźnie — leży dowód poczucia winy i samosądu. Widocznie to, co uchodzi popularnie za „kobiece", jest wstrętne dla nas samych. Cóż to jest? Zamiłowanie do szmatek i plotek, nielogiczność, słabość i skłonność do kłamstwa i zawiści. Istotnie — zalety godne odrzucenia; tylko że są to nietyle przyrodzone cechy kobiet, ile... samiczek. Przy selekcji naszych ludzkich i kobiecych wad i cnót znajdziemy nasz własny ideał i wydobędziemy piękny i nieskażony typ kobiety, którego czeka i męski i kobiecy świat.

Narazie pamiętajmy o tem, że „chodzimy do szkoły". Kobieta dzisiejszego dnia stoi na progu trzeciej fazy swego odrodzenia; powinna być czujna, aby nie uronić niczego ze zdobytych doświadczeń i nie cofnąć się — wraz z „pełną" figurą — do raju pani Dulskiej i piekła pani Bovary.

Ale też czas już, byśmy zerwały z ślepem naśladownictwem mężczyzny. On, ten poczciwy, łatwowierny nieraz gentleman, był tylko naszą — nianią, a czasy, gdy chciałyśmy koniecznie być takie jak on, to czasy dzieciństwa, w którem ubiera się matczyny szlafrok i tatusiowy cylinder i kuleje się tak, jak dziadzio.

Teraz poduczmy się jeszcze trochę w męskiej szkole — bo nie mamy jeszcze własnych szkół — a potem stwórzmy nową kobietę i wybudujmy dla niej nowy dom. A dom ten pomieści na pewno nietylko indywidualność jednostki, ale i parę ludzką i jej potomstwo, a może też i jeszcze coś, czego próżno szukać w dzisiejszych domach: szczęście.

A przecież tworzenie szczęścia jest zadaniem kobiety?

JADWIGA GAMSKA

MELANCHOLJA ROZKWITU

Wiem to już, wiem na pewno z minionych moich lat:
Lato mi duszę mota najsłodziej w ciężki czad.

Z dzikich uniesień miłosnych bzu dymiącego w rozkwicie,
Z jasnych obrzeży przylaszczek, naiwnych, modrych świetliście,

Z wiązek gwoździków, gdzie pąki nabrzmiałe czerwienią dyszą,
Z drzew brzoskwiniowych, gdzie w liściach puszyste kule wiszą,

Z róż pełno-rozkwitłych, miękkich, ciemnego ponsu łon
Wstaje jak woń niewidzialne, tajne przeczucie: zgon.

I wcale nawet nie boli — jakgdyby było łatwo
Po wieczność oczy zasłonić na żywe słońca światło;

Zrzec się gwoździków i róży, modrych przylaszczek i brzoskwiń,
Nigdy już, nigdy nie ujrzeć liljowych bzów-oszołomień.

Lato mię gna po ogrodzie w nerwowym nieukoju —
Gdy przymknę oczy, to widzę jak czeka — duszę moją.

ARNOLD ULITZ
Spolszczyła IDA WIENIEWSKA



KRZYK NIEMOWLĘCIA

Małżeństwo w swej definicji przedstawia się jako związek mężczyzny i kobiety, zawarty w celu ochrony potomstwa. Dlatego dopiero przybycie na świat tego trzeciego nadaje małżeństwu jego pełne znaczenie. I od tej chwili beztroskie, ciche życie we dwoje zmienia swój charakter. Przed kobietą otwierają się szeroko nowe horyzonty uczuć i myśli, dla mężczyzny powstają poważne, stałe obowiązki. A ten mały człowieczek rozkłada się możliwie najwygodniej w swem gniazdku i wyciągając rączki żąda bardzo dużo miłości i poświęcenia od tych dwojga, którzy go na świat wydali. Gdy mu cośkolwiek nie odpowiada, głośnym krzykiem manifestuje swe niezadowolenie.

Krzyk niemowlęcia przedstawia jedyną możność i całą szerokość wypowiedzenia się człowieka w tej fazie jego rozwoju. Pierwszy silny krzyk zaraz po urodzeniu się, tak pożądany przez otoczenie, jest najlepszem świadectwem sił żywotnych noworodka. Lecz tenże sam krzyk pierworodnego dziecka, zakłócający ów dawny spokój życia we dwoje, jest przykrem zjawiskiem dla domu gdzie spodziewano się tylko radości i uśmiechu.

Aby móc zrozumieć krzyk dziecka, trzeba rozważyć czynniki regulujące nastrój człowieka. Niemowlę bowiem jest zawsze bardzo szczere w oddawaniu swojego nastroju, z powodu nierozwiniętych ośrodków hamujących w jego mózgu. Gdy jest niezadowolone, to krzyczy.

Nastrój zaś człowieka zależy: 1. od jego temperamentu, 2. od stanu zdrowia, 3. od ustosunkowania się otoczenia do niego.

1. Temperament. — Niema dwóch ludzi na świecie zupełnie do siebie podobnych. Każdy człowiek wykazuje pewne różnice w najprostszych swych zjawiskach. Każdy inaczej chodzi, inaczej mówi, inaczej je, inaczej nosi swój kapelusz. Te wszystkie cechy, zebrane razem, składają się na pewien charakterystyczny wyraz, tworzący odrębną indywidualność. Ta odrębność przejawia się w różnym sposobie przeżywania życia, czyli w jego różnym temperamencie. Niemowlę reaguje na życie też na podstawie swego wrodzonego temperamentu. Przeciętne dzieci z drobnych przyczyn krzyczą niewiele i łatwo się uspokajają. Wybitne indywidualności w tych samych warunkach krzyczą silnie i długo. Małe niezadowolenie wywołuje silną reakcję, a dążność do ujednostajnienia zjawisk, która jest cechą psychiki dziecięcej, przedłuża ten krzyk na godziny. Te długotrwałe, silne krzyki energicznego dziecka, będące początkowo objawem niezadowolenia, stają się w dalszej fazie dla niego jakimś rytmem monotonnej muzyki, podobnej do śpiewu ludzi pierwotnych. Taki mały krzykacz zdrowo i silnie wyglądający nie budzi litości. Raczej wytwarza pewien komizm sytuacji, który niejednokrotnie dał impuls dziełom artystycznym. Ten rodzaj krzyku nie wywołuje zazwyczaj skarg w rodzinie, bo rodzice sami wyczuwają nadmiar energji u dziecka i pocieszają się, że niebawem ona i w inny sposób uzewnętrzniać się będzie mogła.

2. Stan zdrowia. — Już nieznaczne objawy chorobowe wywołują zmianę nastroju dziecka i krzyk, w którym ton bolesny i zniecierpliwienia przedewszystkiem odczuwać się daje. Najbliższe otoczenie zauważa zwykle już wtedy pewne niedomagania i wzywa pomocy lekarza. Z wyleczeniem choroby niepokój ustępuje.

3. Ustosunkowanie się otoczenia do dziecka. — Ten trzeci czynnik nastroju człowieka jest najczęstszą przyczyną głośnego niezadowolenia. A wywołane jest ono przez warunki zewnętrzne, przez konflikt otoczenia. Niemowlę samo nie jest w stanie stwarzać konfliktu, zależy ono tylko od środowiska w jakiem żyje, a jakie mu rodzice stworzyli. Normalny i swobodny rozwój dziecka potrzebuje pewnych stałych warunków, których brak przykro odczuwa. Warunkami, zapewniającemi mu spokojny rozwój, są: a) odpowiednie odżywienie, b) odpowiednia pielęgnacja, c) harmonja domu.

Błędy w odżywianiu niemowlęcia uważane są popularnie za najczęstszą przyczynę krzyku. Uczucie głodu, owego najpierwotniejszego popędu życia, wywołuje rzeczywiście najsilniejszy protest — w tonie żądania, gniewu i żalu, rozumiany przez otoczenie. Określenie ilości pokarmu, zmiany jakościowe podane przez lekarza przywracają zwykle pożądany spokój.

Przez kult dziecka i postępy higjeny w ostatnich dziesięcioleciach, pielęgnacja niemowląt stanęła na wysokiej wyżynie. Lecz jak zwykle w dziejach postępu, tak i tu pewną przesadę obserwować już można. Ta przesada stała się już błędem pielęgnacji i jako taka wywołuje głośny protest ze strony dziecka, a zmianę poglądów ze strony nauki. Więc pewien rygor i surowość, wprowadzona jako metoda wychowania niemowląt a objawiająca się przedewszystkiem niezwracaniem uwagi na jego krzyk, wyraźnie bywają potępiane. Wolno już będzie matkom nosić i pieścić swe dzieci. Zrozumiano, że niemowlę, przyzwyczajone do bliskiego kontaktu z matką podczas życia w jej łonie, po przyjściu na świat potrzebuje bardzo i nadal bliskiego z nią pożycia w formie pieszczot, i że cierpi z powodu ich braku. Zrozumiano, że matce samej za wszystkie trudy i cierpienia, przeżyte podczas ciąży i porodu, należy się zapłata w możności pieszczenia i uspakajania swego dziecka. Krzyczące niemowlę, pozostawiane w łóżeczku sobie samemu, uspokaja się wkońcu i milczy potem dniem i nocą, rezygnując z tych objawów miłości, których pożąda i które mu się słusznie należą. Rezygnuje podobnie jak młoda kobieta, niezrozumiana przez męża i pozbawiona owych objawów czułości i delikatności, których się spodziewała i których pragnie.

Przesada w hartowaniu należy już do przeszłości. Błędem pielęgnacji jest narażanie go na przykre bardzo dla niego uczucie zimna. Niemowlę, przyzwyczajone do stałej wysokiej temperatury w łonie matki, po urodzeniu się potrzebuje i nadal większego ciepła. Co więcej, niestosunkowo duża powierzchnia jego ciała do wagi przyczynia się do szybszej i większej utraty ciepła, niż u człowieka dorosłego, i z tego powodu małe dzieci muszą być cieplej ubierane. Rekordy w hartowaniu dzieci z pośród najlepszych sfer, gdzie wychowanie odbywa się na podstawie modnych reguł, doprowadzają bardzo często do odmrożenia rączek, nosa i policzków, które tylko z trudnością usunąć można, lub które pozostaje niewyleczonem.

Ostatecznym a jednak może najważniejszym warunkiem spokoju i zdrowia dziecka jest harmonja domu, inaczej mówiąc: spokój środowiska, owo podłoże z którego ten mały człowieczek ma wyrastać. Owa harmonja życia w idealnej swej formie najlepiej uplastyczniona jest na dawnych obrazach przedstawiających św. Rodzinę. Widzimy tu matkę pełną godności, wpatrzoną miłośnie w swe niemowlę, i poważnego opiekuna i skromnych pastuszków i dobre zwierzęta i niebieskie niebo i las i zieloną łąkę, to wszystko razem zespolone w wielkiej harmonji spokoju.

Dziecko odczuwa instynktownie i wchłania w siebie cały niepokój otoczenia. W domu, pełnym konfliktów wskutek nieodpowiedniego zorganizowania, przy nerwowości rodziców, dziecko nie może normalnie i spokojnie się rozwijać. Jedynem racjonalnem leczeniem takiego krzyku jest spokój otoczenia.

Pamiętajmy, że świetlane, pełne zadowolenia dzieciństwo i młodość jest najwyższym celem wychowania. Tylko z takiego źródła wypływają czyny wielkiej miłości.

Dr. ZOFJA MICHEJDZINA

ROZMYŚLANIA

Ludzkość cierpi na manję gadulstwa.
Za dużo słów, znaczy za mało czynów.
M. Marray Butler

Nad wartością milczenia rzadko kto się zastanawia i prawdopodobnie dlatego panuje w słowach największa rozrzutność.

Ludzie nie liczą się ze słowami, z istotnem ich znaczeniem, ze szkodami, jakie z bezmyślnej gadaniny częstokroć wypływają. Ani z tem, że mówiąc bez opamiętania zdradzają się z niejednem, czego później żałują, lub że im wymknie się niejedno, co drugich dotknie.

Gadułów nie traktujemy serjo. Unikamy ich, ile tylko przyzwoitość towarzyska pozwala, a gdy gorzka konieczność zmusi nas do słuchania, czynimy to z beznadziejną rezygnacją, czasem nawet nieukrywaną. A z plewy ich słów nie mamy nawet ochoty wybierać ziarna.

W stosunkach towarzyskich bywa gadulstwo wprawdzie nieznośnym egoizmem i brakiem wychowania, ale ostatecznie można je przeboleć.

Natomiast dużo szkód narobi i krwi napsuje ludziom pracującym zawodowo taki pan lub pani rozmowna, kiedy to w godzinach przeznaczonych na wykonywanie zawodu, dostawszy się do gabinetu, oczywiście, na momencik, rozsiądą się wygodnie i prowadzą towarzyskie — monologi.

Ofiara w opresji będąca zdobywa się na genjalne pomysły — o jakieby nigdy przedtem nie podejrzewała siebie — by tylko ostudzić i zahamować gościa w zapale. A gdy wszystkie chytrości zawiodą, robi się ofiara niema, roztargniona, bywa powoływana na nagłe konferencje i t. p. Gdy i to nie pomoże, a gość wyrozumiale zaprasza: mną proszę się nie krępować, ja zaczekam, mam czas — nie pozostaje nic innego, jak stanowcze wyjaśnienie, a w pojęciu rozmownej osobistości — niegrzeczność.

Znajoma moja, która w swojem biurze była przez kilka miesięcy gnębiona tego rodzaju wizytkami, odważyła się wkońcu na postawienie kwestji jasno. Wytłumaczyła zupełnie poważnie a nawet serdecznie, czem jest właściwie biuro. Warsztatem pracy do spełniania podjętego obowiązku, a nie salonikiem przeznaczonym na wizyty. Te ostatnie chętnie przyjmie w swojem prywatnem mieszkaniu.

Wzburzenie gościa było bezgraniczne. Nie doszło do jego świadomości, że sam jest natrętny, że popełnia nietakt. Przeciwnie, posypały się wyrzuty pod adresem ofiary: więc to kobieta potrafi być tak niedelikatna, brutalna, niegościnna. O, te dzisiejsze zimne, wyrachowane kobiety... Nie, to już zupełny zanik i zmierzch kobiecości.

Biedna ta kobiecość, ileż to „cnót" wymagamy od niej.

I tak bezkarnie przenika gadulstwo wszędzie; w wszystkie dziedziny życia społecznego, politycznego, towarzyskiego, w sprawy codziennego życia. A nawet takie skądinąd potrzebne i pożyteczne wynalazki, jak telefon, sprzyjają szerzeniu się gadulstwa.

„Gdy się nudzę i nie wiem co z czasem zrobić, telefonuję *sobie* do wszystkich znajomych pokolei, albo wyszukuję w spisie abonentów nazwiska, które mi się podobają, i dzwonię. Czasem można się ubawić nadzwyczajnie" — zapewniała z filuternym uśmieszkiem pewna pani. A no — co kogo bawi.

Ludzie nawiedzeni gadulstwem niezdolni są do skupienia myśli, zapominają o właściwym celu rozmowy, rozpraszają się w słowach bez treści i plotą w nieskończoność dla samej satysfakcji mówienia.

O ileż wyższem jest milczenie.

Z jednostką umiejącą opanować swój język każdy się liczy i oczekuje rzeczy i czynów rozważnych. Do takich ludzi mamy bezwiedne zaufanie, szacunek, nie obawiamy się nieobliczalnych postępków z ich strony, katastrof towarzyskich lub nietaktów, tłumaczonych naiwnie „wymknięciem się" słów bez złej intencji. Otóż o to wymykanie się, tak łatwe przy gadulstwie, chodzi.

Podnosząc zalety milczenia nie myślę, rzecz jasna, o mrukach — bo ci znowuż przedstawiają inną kategorję nieznośników — ale o umiejętności milczenia, którego źródłem jest szlachetny umiar we wszystkiem i zrozumienie pełnej treści *słowa.*

*

Rozmyślam często nad dobrocią.

Nad istotą dobroci i rozmaitemi jej przejawami.

Nad tem co właściwie uważać należy za dobroć.

Czy sama niezdolność czynienia źle jest już dobrocią?

Czy bezmyślne, odruchowe czyny litości pod wpływem uczuć zaniepokojonych czyjąś nędzą?

Czy nieśmiałość lub nieumiejętność odmowy wobec natarczywości ludzkiej?

Czy nieodmawianie nikomu, kto o jakąkolwiekbądź pomoc prosi — moralną lub materjalną — nikomu, bez różnicy?

Czy bierność w pozwalaniu wyzyskiwania siebie pod różnemi pozorami?

Bo najczęściej takie to właśnie objawy podporządkowujemy pod dobroć.

Ale czy słusznie? Niepokoi mnie to pytanie.

I jaki rodzaj dobroci jest najwartościowszy: dobroć wrodzona, instynktowna, czy świadoma siebie rozumem kierowana, opanowana, rozróżniająca i oceniająca swoje czyny.

Dobroć bezkrytyczna, folgująca zachciankom i prośbom jednostek złych, obciążonych nałogami, namiętnościami lub złemi nawyknieniami, siać będzie tylko zgubę, stanie się mimowolną wspólniczką zła. Czy np. pomoc finansowa niesiona karciarzowi, pijakowi lub morfiniście jest czynem etycznym? Przecież pogrąży ich tylko w upadku moralnym.

Ślepa dobroć jest cnotą bezwartościową, a właściwie już cnotą być przestaje. Jest słabością.

Dobroć nie powinna być narzędziem słabości, braku inicjatywy, bierności i chęci spuszczania się na drugich.

Chcąc praktykować mądrą dobroć, trzeba umieć odmawiać, gdy tak rozsądek dyktuje, trzeba umieć nietylko życzliwie, ale i krytycznie spoglądać na bliźnich. Krytyka bynajmniej nie wyłącza życzliwości. Odmowa nie musi być szorstka lub obraźliwa, przeciwnie nawet, powinna być oględnie i łagodnie podana, jakkolwiek nieugięcie. W takich warunkach wzbudzi szacunek i będzie aktem pedagogicznym, dobroczynnym w skutkach.

Prawdziwa, mądra dobroć powinna być siłą, radością i energją. Powinna działać świadomie, łagodnie, dyplomatycznie; nie być podejrzliwą, lecz nie dać się naciągać fałszywym łzom.

Wrodzona dobroć nie wystarcza; musi przejść przez szkołę rozumu, by mogły z niej powstać zdrowe dojrzałe czyny, narzędzia odrodzenia chorych dusz ludzkich.

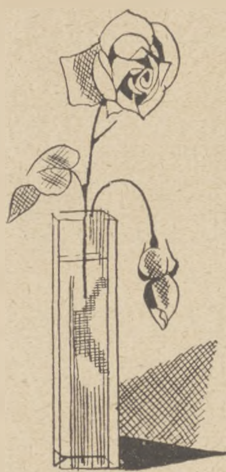
Wynika więc z tego, że dobroci uczyć się trzeba, gdyż nie każdy dobry człowiek potrafi nią szafować ku pożytkowi tych, którym radby nieść pomoc.

Uczyć się jej trzeba wytrwale na przykładach, które nam każdy dzień przynosi. Uczyć dzieci od kolebki prawie, czem jest dobroć i jej słodkie owoce. Nie pozwolić dzieciom dokuczać sobie nawzajem, dręczyć zwierzęta domowe, rozpruwać i niszczyć zabawki dla zobaczenia co wewnątrz. Nie wywyższać jednych ponad drugich, by nie budzić w ich sercach goryczy zawiści tłumiącej dobre porywy.

Gdy wszystkie uczucia zawiodą, pozostaje nam dobroć, niezawodne źródło spokoju i równowagi ducha.

OBSERWATOR

ZIELONE KANARKI



List od siostry pani Walerja otrzymała wieczorem tego dnia, kiedy to wskutek danego w dzienniku ogłoszenia zjawił się kandydat na sublokatora, taki właśnie, jakiego mieć pragnęła. Człowiek, widać było, poważny. Powiedział, że się nazywa Laszka, Antoni Laszka, inżynier. Na dość wysoki czynsz zgodził się bez targów. Pozatem z pokoju korzystać będzie tylko po południu, między piątą a ósmą. Ten szczegół zrazu nieprzyjemnie uderzył młodą gospodynię. Chciała coś powiedzieć, ale Laszka, snać zrozumiawszy obawy, uprzedził ją deklaracją obyczajności. „Czy wyglądam na takiego?" spytał z uśmiechem tak wesołym, że cień zmęczenia, który leżał w oczach inżyniera, nagle zniknął. I pani Walerja uśmiechnęła się również, rozbrojona już z wszelkich podejrzeń.

— Jestem wdową po pułkowniku jazdy... Po raz pierwszy decyduję się na lokatora. Emeryturę przyznano mi bardzo skromną, a tu taka drożyzna...

Oparta o drzwi, nieśmiała w ruchach i słowach, tłumaczyła się zbędnie, z przymkniętemi oczyma, jakby wstydząc się różowej łuny, która nagle zalała jej twarz.

Kiedy zatem nadszedł list od siostry z kresów, zawiadamiający, że zamierza ona sprowadzić się do Warszawy i zamieszkać u pani Walerji, wdowa przeżyła krótką rozterkę. Mogła jeszcze unieważnić zawartą z inżynierem umowę, nie uchybiając zwyczajowi. Ale to była tylko chwila. Przeważyła nietyle słowność, nawet nie względy materjalne, co raczej zaciekawienie. Lokator w życiu wdowy zapowiadał się jako pewna atrakcja. W ciągu tych trzech godzin dziać się tutaj będzie niewątpliwie jakaś tajemnica. Może to spiskowiec? Może wynalazca? A może opętaniec, poszukujący samotności, by móc się rozdwajać, w inny przeistaczać kształt?



Pani Walerja zaraz odpowiedziała siostrze, że już się stało. „Łatwo sobie wyobrazisz, z jaką przykrością piszę ci te słowa. Pokój ma wejście oddzielne, wprost z klatki schodowej, a z takiego pokoju sublokatora chyba nie przepędzę. Teraz nic ci już nie mogę przyrzekać."

Lokator zgłosił się nazajutrz. Przyniósł z sobą kwiaty, butelkę wina i dywanową poduszeczkę. Poprosił o dwa kieliszki. Potem grzecznie, ale tonem stanowczym oświadczył, że dopóki sam się nie zjawi nie należy mu przeszkadzać. (Wyraźnie: *dwa* kieliszki!)

Więc — nie sam? Czyżby naprawdę był to konspirator, albo ktoś taki, co się rozdwaja? Wdowa poczuła dreszczyk sensacji. Ale kwiaty? Pocóż te kwiaty?

Kiedy wychodząc oddał klucz, pani Walerja udała się do jego pokoju. Na etażerce stała butelka i dwa kieliszki, oba ze śladami wina. We flakonie cięte róże. Obok otomany na podłodze rozrzucone gazety. A w powietrzu smugi aromatu. Najwyraźniej perfumy.

— Nie rozumiem — szepnęła z pewnym niepokojem, ale też nie bez zadowolenia.

Mijały tygodnie zimowe. Pani Walerja sprzątała swoje dwie stancyjki i pokój lokatora, paliła mu w piecu, zmieniała kwiatom wodę. Laszka zjawiał się codziennie o piątej i wychodził przed ósmą, zostawiając gospodyni klucz. Uśmiechał się przytem, ale jakimś bladym i jakby sennym uśmiechem. Wdowa zauważyła, że cień znużenia w jego twarzy pogłębił się widocznie, a posrebrzone skronie jeszcze bardziej wybielały. Czyżby znak przeżywanej zgryzoty?

Chciała mu to powiedzieć, ale na taką śmiałość zdobyć się nie mogła. Przy spotkaniu coraz mocniej się czerwieniła, a uścisk jej dłoni mimowoli stawał się cieplejszy.

Razu pewnego, roztrząsając w myśli tajemnicę odnajętego pokoju, orzekła:

— Tu w grę na pewno wchodzi serce. Jakaś bardzo przykra i bolesna sprawa.

A więc nie pospolity romans. Bo jakże? Inżynier, już nie młody przecież? Ta szybko rosnąca siwizna, a w skurczu ust hamowana żałość? Ta cichość gestu, wzrok znużony?

Westchnęła ciężko.

— Jakiś potwór nęka tego nieboraka. Boże, wieleż to złych i przewrotnych kobiet bezkarnie grasuje po świecie!

Wpadała w głęboką zadumę. Nocami śniły się jej sposoby ratunku. Trzeba ratować człowieka, choćby to był nawet mężczyzna, nawet niebardzo już młody.

— Z pewnością jakaś hrabina. Albo może księżniczka krwi, z jakiej zdetronizowanej dynastji. Taką bestję, jak ta, wyhodować mogą tylko stosunki dworskie. Antoni... Pan Laszka (poprawiła się zaraz) byle komu nie dałby się dręczyć...

Rozmyślając nad losem nieszczęśliwego lokatora, coraz częściej, jakby niechcący, spozierała ku lustru. Widziała tam świeżą swoją urodę blondyny i ćwierćuśmiech rozmarzenia.

— Powinien się ożenić z kimś bardzo mu życzliwym... — pomyślała, dając folgę napastliwym rojeniom.

I aby przerwać tok niedorzecznych myśli, czy też żeby wyładować z serca niespokojną tęsknotę, zasiadła do rzadko otwieranego pianina i, niewprawnie wybrzdąkując jakąś melodję, cicho nuciła swoją zadumę, swoją młodość wdowią, schyłki zimy i nawoływania wiosny.

Bo na świat zewsząd szła już wiosna. Czuć ją było w deszczach nagłych, w tajaniu brudnych kopców śniegu, w nierównych trzepotach wiatru. Rozprężały się w parkach drzewa, wydechując zamróz przebytego letargu. Płaskie niebo wzdęło się, zabarwiło i nasiąkło światłem. W oknach zawisły figury dziewczyn, myjących szyby.

U pani Walerji również działa się wiosna. Porządki jakieś, gorączkowe a radosne przygotowania. Kanarki w klatce szalały świegotliwie i bez umiaru. Okrągły ścienny zegar, jakby nabrzmiały od nagromadzonych w nim zapasów czasu, rezolutnie wymachiwał wahadłem.

W Wielką Sobotę pani Walerja po gwałtownej walce z nieśmiałością, odbierając od lokatora klucz, napoły żywa z zawstydzenia, wybąkała:

— Może w drugi dzień świąt będzie pan łaskaw na skromne śniadanko. Tak długo się znamy, a właściwie...

Zaproszenie Laszka przyjął. Jak zwykle cichy i znużony. Jak zwykle cichy, zjawił się w oznaczonej godzinie. Czarny wizytowy strój jeszcze bardziej uwydatniał srebro jego włosów i biały mat twarzy.

Przy stole rozmowa ustawicz-





nie się rozklejała. Słońce, padając na zastawę, w krawędziach szkieł rozpryskiwało się na małe tęcze i kładło je na obrusie. Lokator jadł niewiele, pił jeszcze mniej. Znacznie mniej niż gospodyni, która pewnie w oszołomieniu słodką wódką szukała wątku rozmowy i bodźca do serdeczniejszych akcentów. Na twarzy jej wystąpiły ostre kolory, głos urósł w siłę, nabrał barwy.

— Zmizerniał pan — zauważyła, dzwoniąc zębami o szkło kieliszka.

On zaś żuł mazurek jak gumę. I milczał.

— Niech pan się na mnie nie gniewa — zbyt głośno dodała. — Ale ja znam pańską tajemnicę. Niech pan się wyzwoli z pęt. Ta pani niewarta jest tego, żeby przez nią aż tak cierpieć.

Laszka słuchał. Miał wysoko podniesione brwi. Po chwili jednak zaczęła mu drgać twarz. Twarz, potem barki, potem cały tułów. Ten niemy paroksyzm nie minął nawet wtedy, kiedy na ręce Laszki spoczęła dłoń kobieca, wśród turkotu kanarków miękki zabrzmiał głos:

— Niech pan nie płacze. Ma pan we mnie szczerą, gotową do poświęceń przyjaciółkę...

Ujął jej dłoń i podniósł do ust. Ale nim wargi jego dotknęły ręki, niemy spazm wyzwolił się w wybuchu szalonej wesołości.

— Pani jest niesłychanie zacną istotą! — zawołał Laszka, krztusząc się śmiechem. — Muszę tylko sprostować błąd. Tutaj niema żadnej damy.

Pani Walerja ścierpła.

— Nie wierzę — rzekła prawie groźnie. — Kwiaty, perfumy.

Laszka zakrył usta serwetą i spuścił głowę.

— W pokoju pachniały farbą świeże obicia, więc uciekłem się do pomocy rozpylacza i perfum. Płatki z róż suszę na odwar, jakoby pomocny przy cierpieniach żołądka. W domu moim cięty kwiat się nie utrzyma: albo przywłaszczą go sobie moje pannice, albo, gdy uschnie, służąca wyrzuci.

— Wino, dwa kieliszki — uparcie oskarżała wdowa. Tułów gościa znów zadrżał.

— Tak... tak... Widzi pani, mieszkanie mam niewielkie a rodzinę dużą. Dwie córki w konserwatorjum. Żona również śpiewa jeszcze, niestety. Od pół roku gości nadto moja ciotka. U pani więc szukałem na parę godzin schronu i spokoju. Gazeta, drzemka, a taki jestem zmęczony pracą w fabryce i niestrawnością...

— Dwa kieliszki. — Dwa! — broniła swej legendy pani Walerja, błyszcząc roziskrzonemi oczyma. — Dwa kieliszki!

— Pijam po obiedzie wino kuracyjne, w drugim kieliszku rozcieńczam lekarstwo...

Bajka się skończyła.

W okno biła złotem i modrością młoda wiosna. Kanarki zanosiły się głosami, podobnemi teraz do śmiechu. Pani Walerja poczuła się nagle obcą we własnym domu. Poczuła się obca i przykra sobie samej. Nieznośnie przykra przez doznany zawód i upokorzenie. Ah, gdybyż móc wyjść z siebie samej i zaprzeć się tej głupiej, ośmieszonej istoty! Biernie spojrzała ku klatce, w której tarzały się ze śmiechu rozświetlone słońcem kanarki. Przez chwilę zdawało się jej, że ptaki zielonkawym mienią się połyskiem. Świadomość jej uczepiła się tego wrażenia, jak deski ratunku. O czemkolwiek myśleć, o czemkolwiek, byle nie o tem, co się przed chwilą stało!

— Kanarki są zielone — szepnęła z przekonaniem, ale bez zdziwienia.

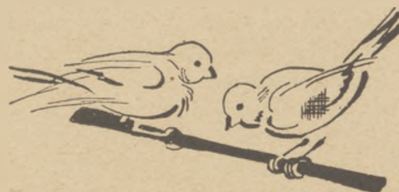
— Słucham? — uprzejmie spytał gość, zwracając ku niej wciąż jeszcze wesołe oczy.

Pani Walerja ochłonęła. Wzrok jej prześlizgnął się po twarzy lokatora. Dopiero teraz spostrzegła, że Laszka ma trochę zadarty nos, odstające uszy, zbyt wypukłe oczy i głębokie bruzdy na czole. I to jabłko adamowe, wystające z nad kołnierzyka! Okropność!

Chrząknąwszy, jakby chcąc sprawdzić, czy nie zadrży w jej głosie ślad przeżytego wzruszenia, twardo i wyniośle rzekła:

— Przy sposobności chciałam pana uprzedzić, że od maja będzie mi potrzebny pokój, obecnie przez pana zajmowany. Przyjeżdża moja siostra, pewnie na stałe. Pojmuje pan, nie mogę jej narażać na tułanie się po cudzych kątach...

W. FILOCHOWSKI



POZER HUMANITARYZMU

Przed kilku laty, około roku 1920, gdy do Lwowa spóźnionem i dalekiem echem dochodzić począł wrzaskliwy jazz futuryzmu — uwijał się zamaszyście i buńczucznie po mieście młody poeta, pochodzący z Sandomierskiego, Bruno Jasieński. Wyfiokowany na ostatni guzik, woniejący jak drogerzysta, interesująco blady, z monoklem w prawem oku, a ze wspaniałym lokiem nad lewem okiem — wyglądał jak ożywiona figura woskowa z panoptikum Oskara Wilda. Tych, co go traktowali serjo, oburzał lub „epatował"; innych — śmieszył. Młode panienki z pewnej sfery dostawały na jego widok gorączki; niedowarzeni młodzieniaszkowie rozczytywali się w jego utworach i odrazu czuli się rewolucjonistami ducha i sztuki.

Bruno Jasieński promieniał. Był ośrodkiem uwagi ogólnej. Kiedy zjawił się u „Zalewskiego" lub w „Romie", kierowały się ku niemu pożądliwe płomyki spojrzeń kobiecych. Był „sławny"...

O to mu właśnie chodziło. W tym celu ogłaszał pretensjonalne i dziwaczne, choć niepozbawione talentu wierszyki; wypuszczał w świat utrzymane w niekonsekwentnej transkrypcji fonetycznej, puste i nadęte jednodniówki („*I. jednodńuwka futurystuw*", 1921; „*Nuż w bżuhu*", *2-a jednodńuwka futurystuw*, — listopad 1921); urządzał cudaczne i dotąd niebywałe recitale poetyckie.

Zjawiał się na takich recitalach z miną znudzonego Tyberjusza, rozsiadał się wygodnie, zapalał papierosa, brał bajecznie oszlifowanemi palcami nieskończenie długie wstążki zapisanego lub zadrukowanego papieru i — chrapliwym, donośnym, rytmicznie skandowanym głosem — czytał... Pojęcia najwznioślejsze nurzały się niespodziewanie w brudzie i kale; wyrazy i obrazy prostackie wydźwigały się na obce dla nich wyżyny; kojarzyły się ze sobą rzeczy niewspółmierne i najzupełniej sobie obce. Nie z wewnętrznej konieczności poetyckiej — dla efektu.

I efekt następował: okrzyki, protesty, oklaski, gwizdy — Jasieński był zadowolony.

A później spróbował rzeczy większych: wydał poemat „*Pieśń o głodzie*", szkic powieściowy „*Nogi Izoldy Morgan*", a w czasach ostatnich rapsod „*Słowo o Jakóbie Szeli*" i — „*Palę Paryż*". Wszystko było kontynuacją tonu początkowego: nieszczerego, łączącego obleśny sentymentalizm z szorstką brutalnością, kabotyńskiego i pozerskiego.

Ostatnim i głośnym etapem tej drogi rozwojowej jest powieść „*Palę Paryż*". Odpowiadając *Morandowi* na rozdział jego „*Europe galante*": „*Je brûle Moscou*" — wystąpił Jasieński jako otwarty agitator komunizmu, jako oskarżyciel współczesnej Europy, przeciwstawiający jej kulturze — apoteozę bolszewizmu. Stanowisko takie, choćby mylne, mogłoby zjednać sobie szacunek, mogłoby wymagać rzeczowej polemiki, mogłoby płynąć z serca, rozpłomienionego namiętnem pragnieniem sprawiedliwości społecznej. Tak jednak nie jest. Jasieński nie zmienił się wcale. Ciągle ma w prawem oku monokl, a nad lewem wspaniały, imponujący lok. Ciągle polituruje sobie paznokcie, a przegub jednej ręki ozdabia złotym łańcuszkiem.

Chce zwrócić na siebie uwagę. Choćby przemocą. Pozuje. Przybiera postawę Napoleona czy też jakiegoś Gandhiego humanitaryzmu światowego, a jest nędzną kopją starożytnego Herostrata. „*Pali Paryż*", aby zdobyć — sławę herostratową.

Pozatem jest zręczny; wybiera umiejętnie przenośnie i porównania, niby kwiaty do butonierki. Nie jest jednak ani artystą ani apostołem, jest obłudnym i śmiesznym pajacem.

A przedmowa Kadena Bandrowskiego? Mimo szacunku dla autora „Czarnych Skrzydeł" jako pisarza i człowieka, należy to słowo wstępne nazwać co najmniej — przykrą omyłką.

Dr HENRYK BALK

ANNA SEVERN I FIELDINGOWIE

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski — Powieść, 2 —

Poprzez ogrodzony żywopłotem trawnik szedł ku niej ojciec Anny, poważny, przystojny, samotny.

Przystojny nawet po piętnastu latach pobytu w Indjach. Przystojniejszy niż zamłodu. Wytworniejszy. Oczy jaśniejsze na tle bladego bronzu. Lubiła jego chudą, bystrą twarz, rasowego przypominającą charta, który węszy trop, każdej chwili gotów puścić się w pogoń. Wyraz gorliwości, teraz chwilowo powściąganej. Tak właśnie zwykł był przychodzić do niej — z tym wyrazem gotowości i sprzymierzeństwa.

Adelina próbowała odszukać jego młodość w rysach Anny; lecz swą czarność i białość dziewczynka wzięła po matce; jej nosek był jeszcze miękki w zarysie, rzekłbyś niesformowany; nie wiadomo, jaka ona będzie za pięć lat. A przecież coś jest wspólnego: ta sama rasa, tenże naprzód wybiegający, niespokojny wdzięk.

Nim stanął przy niej, Adelina już się znów uśmiechała. Uśmiechem szczerych, delikatnych ust, szafirowych oczu, jaśniejących pod długiemi rzęsami, pod ciemną brwią, uśmiechem niewinnego białego nosa i całej łagodnej, mleczno-matowej twarzy. Uśmiechały się, lśniąc, nawet jej gładkie ciemne włosy. Była świadoma swej władzy, wiedziała, że może go do siebie przywołać bez pomocy słów i narzucić się wszystkim jego uczuciom nawet w obecnem jego zatroskaniu.

Przenikliwy Eliot obserwował ją z nad ogrodzenia tarasu i myślał: „Pani matka jest wcale rada z siebie. Coprawda nie widzę podstaw do tego".

Przyszło mu również na myśl, że pan Severn nie wygląda na komisarza Ambali, członka Rady Ustawodawczej i wdowca. Zbyt ożywiony, niedość poważny.

Zagłębił się ponownie w tę najciekawszą lekturę: „Badacz winien otworzyć klatkę piersiową królika, nadciąć i usunąć nabłonek i inne tkanki, zakrywające początek wielkich naczyń, i tym trybem odsłonić serce..."

Weterynarz Yearp pokaże mu, jak się to robi.

4.

— Nazywa się Bendży. Posiada motyli deseń, — oświadczył Jerrold.

Królik był teraz spokojny. Siedział na ręku u Ani, kicając, z przedniemi łapkami złożonemi na jej piersi. Schylała się i całowała go w miękki pyszczek, który się poruszał nieustannie, łechcąc rozkosznie jej wargi. Był biały, z czarnemi uszyma i czarną owalną łatką u nasady ogona. Dwie plamki w kształcie skrzydeł rozchodziły mu się od nosa niby wąsy; to był jego „motyli deseń".

— Śliczny! — rzekła.

Colin zaraz powiedział to samo swym cienkim dziecinnym głosikiem: „Śliczny!" Colin miał zwyczaj powtarzać za innymi. Był to jego sposób uczestniczenia w konwersacji.

Wyciągnął rękę i pogładził Bendżego; Ania uczuła, jak serce królika mocno i wartko zabiło o jej pierś. Ciałkiem Bendżego wstrząsnął dreszcz.

Pocałowała go znowu. Serce jej drżało i wzbierało macierzyńską tkliwością.

— Czemu się tak trzęsie?

— Boi się. Nie rusz go, Col.

Na widok zwierząt, Colin nie mógł się powstrzymać od głaskania ich. Wsadził ręce do kieszeni, by je uchronić od pokusy. Ze wzroku, jakim Jerrold patrzył na brata, znać było, jak go bardzo kocha.

W Colinie było coś uroczego i kruchego. Blada cera, zgrabny mały nosek i usteczka, ciemny włos, i oczy niby te piskorzyki, w zielonej pływające wodzie. Natomiast Jerrold miał twarz silną i dziwne oczy, pociągające ku sobie wzrok patrzącego. Oczy te były szafirowe — nie tym nużącym, stale jednakim szafirem jak u matki, jeno tajnie i niespodzianie szafirowe, błękitem co błyśnie ku tobie i znów się schowa, błękitem osobliwie ruchomym w mocnej kwadratowości jego twarzy, ukazującej nowego Jerrolda za lada poruszeniem. Jeden tylko rys jego był niezmienny: ładny, równy nos. Nozdrza wydymały się zlekka odrzucając cień. Zauważałeś to wszystko dopiero po bacznem przyjrzeniu mu się. Najbardziej podobały się Annie jego usta, to gniewne (nigdy jednak na Colina), to życzliwe po chwili, podniesione w kącikach, gotowe do śmiechu.

Stał tuż przy niej w swem białem flanelowem ubraniu, prosty i smukły. Spoglądał na nią zupełnie podobnie jak na Colina.

— Podoba ci się?

— Kto? Colin?

— Nie, Bendży.

— K o c h a m go.

— Dam ci go, jeżeli chcesz.

— Zupełnie? na własność?

— Ano.

— Niepotrzebny ci?

— Owszem. Ale chciałbym, żebyś go miała.

— O, Jerroldzie!

Wiedziała, że jej darowuje królika dlatego, iż straciła matkę.

— Mam jeszcze siwą samiczkę, jej młode i kłapouszka — zaznaczył.

— O, będę go b a r d z o kochała.

— Nie trzeba go tak mocno przyciskać. I uważaj, by nie dotykać mu żołądka. Jeśli go tam nadusisz, zginie.

— Tak, tak! jeśli mu nadusisz żołądek, zginie! — zawołał Colin w podnieceniu.

— Będę strasznie ostrożna.

Spuścili go na ziemię, poczem jął biegać w kółko, bębniąc tylnemi skokami o klepisko, strasząc samiczki, które się kuliły jak koty, pomiędzy liśćmi sałaty i marchwią.

— Kiedy się małe króliczęta urodzą, połowa będzie twoja, bo to Bendży będzie ich ojcem.

— O...!

Po raz pierwszy od zeszłego piątku Anna była szczęśliwa. Kochała królika, kochała małego Colina. A ponad wszystko i ponad wszystkich kochała Jerrolda.

Wszelakoż później, leżąc nocą w łóżeczku, myślała o zmarłej matce i długo płakała, nie mogąc usnąć; płakała cichutko, żeby nikt nie słyszał.

5.

Były to urodziny Roberta Fieldinga. Anna miała tego wieczoru jeść obiad późno, siedząc przy nim. Oświadczył, że to jego urodzinowa uczta.

Anna zrobiła dla niego wycieraczkę do piór z zielonego sukna, z dużą niebieską gałką w środku. Powiedział, że zachowa ją na zawsze.

Wielki przedsionek Dworku był umeblowany jak pokój. Szerokie dębowe schody spuszczały się tam z galerji, okrążającej całą izbę. Towarzystwo czekało tu na panią Fielding, która się zawsze conieco spóźniała. To zniewalało do myślenia o niej. I teraz wszyscy o niej myśleli.

Na górze drzwi się otwarły i zamknęły. Coś się poruszyło wzdłuż galerji, nito duże światło, i pani Fielding jęła zstępować ze schodów, wolno, przedłużając wrażenie. Odziana była w swą starą perłowo-białą suknię.

Sznur pereł opadał z szyi i bujał się między piersiami. Od tyłu głowy ku przodowi szły coraz wyższe karby włosów, najwyższy zaś lok przeplatał się przez nie niby lśniący grzebyk. Oczy, mocno błękitne na mlecznem tle twarzy, iskrzyły się pomiędzy dwoma ciemnemi splotami włosów. Usta się uśmiechały swym czarującym i oczarowanym uśmiechem. Wiedziała, że mąż i Jan śledzą każdy jej krok; czuła, jak ciemnieją ich męskie źrenice. Aż nagle uświadomiła sobie obecność Janowej córeczki.

Anna szła ku niej poprzez przedsionek, pociągana mocą tego czaru, tych oczu, tej słodkiej woni kwiatowej. (Lecz nie lawendy, nie lawendy.) Stała u stóp schodów, spoglądając do góry. Niebiańskie zjawisko spuściło się do niej i Ania wybuchnęła płaczem.

— Taka pani piękna! taka piękna!

Pani Fielding przystanęła.

— I ty również, kochana dziecinko.

Nachyliła się szybko i ucałowała ją, mocno przyciskając do piersi, durząc nawałnicą kwietnych zapachów. Anna poddała się biernie, ujęta słodyczą i krasą.

— Ty mała szelmo! — rzekła Adelina. — Mam cię nareszcie.

Nie mogła znieść niczyjej obojętności, nawet psa czy kota; wszystko musiało ulegać jej czarowi.

6.

Co wieczór, skoro niania Colina zapakowała Anię do łóżka i odeszła, drzwi sypialki uchylały się niebawem, wpuszczając światełko. Wówczas Ania zamykała oczy i zagrzebywała się pod kołdrę; wiedziała, że to ciocia Adelina usiłuje być dla niej matką. (Dla dogodzenia im, trzeba ich było nazywać ciocią Adeliną i wujem Robertem, choć nie byli krewnymi.)

Co wieczór słyszała kroki cioci Adeliny i stuk jej lichtarza, stawianego na komodzie, czuła jej ręce odsuwające kołdrę i schylającą się nad nią twarz. Usta muskały jej czoło. Anna leżała drętwo i bezgłośnie, zaciskając powieki.

Dziś usłyszała za drzwiami głosy i jeszcze czyjeś nogi, stąpające na paluszkach za ciocią Adelą. Ktoś — nie ciocia — szepnął: „Śpi". Był to Jerrold. Jerrold. Czuła, że stojąc koło matki patrzy na nią, i powieki jej drgnęły; lecz nie otwarła oczu.

— Wcale nie śpi, — odrzekła ciocia Adelina. — Udaje, mała małpka.

Jerrold pomyślał, że rozumie, o co tu chodzi. Poszedł do dawnego pokoju dziecięcego, zamienionego teraz na szkolny, i zastał tam Eliota, który oglądał przez mikroskop łapkę muchy. Właśnie Eliota było mu potrzeba.

— Słuchaj-no, wiesz? mama popełnia morowy błąd w postępowaniu z tym brzdącem. Stara się tak zachowywać, jakby była jej matką. A jej to najwyraźniej sprawia przykrość. I mnieby sprawiało, gdybym stracił matkę.

Eliot zdawał się nie słuchać, pochłonięty swą muszą łapą.

— Trzeba, żeby jej kto wytłumaczył.

— Ty? — spytał Eliot — czy też ja?

— Żaden z nas. Namówię ojca, on to zrobi najlepiej.

7.

Robert Fielding nie zrobił tego natychmiast. Czekał, aż mu Adelina nastręczy sposobność. Zastał ją samotną w bibljotece i żona sama wszczęła rozmowę.

— Robercie, nie umiem sobie poradzić z tem dzieckiem.

— Z którem dzieckiem?

— Z Anną. Jest u nas już pięć tygodni, robię co tylko mogę, ona mi zaś nie okazuje ani krzty uczucia. Niezbyt to miło: dać przytułek, karmić i doglądać po matczynemu, a wzamian nic nie mieć. Nic, oprócz zimnego policzka do ucałowania rano i wieczór. To trochę za mało.

— Dla Anny?

— Dla mnie, mój kochany. Starać się być matką cudzemu dziecku, które cię nie kocha i nie pokocha.

— Nie staraj się tedy.

— Nie starać się?

— Nie próbuj być dla niej matką. To właśnie jej się nie podoba.

Do tego się dogadali, gdy w progu stanął Jan Severn. Na widok ich poufnej rozmowy chciał się cofnąć, ale go zatrzymała.

— Nie idź, Janie, potrzebujemy twej rady. Oto mi Robert mówi, żebym nie była Annie matką.

— A oto Adelina się gryzie, że jej Anna nie będzie kochała.

Severn usiadł, rozważając.

— Trzeba na to czasu — powiedział.

Spojrzała nań, uśmiechając się z pod spuszczonych brwi.

— Na to, by mię pokochać?

— Na to, by cię Anna pokochała. Jest — — jest tak rozpaczliwie wierna.

Z wieżyczki rozległ się dźwięk dzwonu. Robert odszedł, by sami kończyli tę, jego zdaniem, krępującą rozmowę.

— Mówiłam, żem usiłowała zastąpić jej matkę. I to prawda, Janie. Ale mała nie idzie mi na rękę,

— Nie staraj się zbyt usilnie. Robert ma słuszność. Nie bądź... nie bądź jej matką.

— A czemże?

— O, czem chcesz. Zjawą niebieską. Aniołem. Niedościgłym ideałem. Tylko nie tem jednem.

— Sądzisz, że wiecznie będzie stawiała opór?

— Przeciw temu jednemu. Dopóki pamięta. To ją rani.

— Jednak nic nie ma przeciw temu, by Robert był dla niej ojcem.

— Bo Robert jest lepszym ojcem niż ja i ona wie o tem.

Adelina zarumieniła się. Pojęła aluzję i wbrew logice uczuła się dotkniętą. Dostrzegł ten brak logiki i tę przykrość.

— Moja droga Adelino, matka Anny zawsze będzie matką Anny. Ja nigdy nie byłem dla niej czemś równorzędnem z Alicją. Musiałem wybierać pomiędzy Rządem Indyjskim a córką. Zauważ, że nie staram się być Annie ojcem i że przeto Anna mię lubi. Natomiast Roberta będzie k o c h a ć.

— I l u b i ć mnie? Jeżeli zaniecham starań?

— Daj jej czas, daj jej czas.

Wstał, uśmiechając się do niej.

— Uważasz, żem nierozsądna?

— Odrobineczkę.

— Mój drogi Janie, gdybym nie kochała twej córeczki, byłoby mi wszystko jedno.

— Kochaj ją, kochaj. I ona także będzie cię kochała w swój osobliwy sposób. Teraz walczy z tobą. Nie walczyłaby, gdyby nie czuła swej porażki. Nikt nie może długo ci się opierać.

Spojrzała na zegar.

— Nieba! Muszę pójść się przebrać.

Myślała: „On, biedaczysko, nie opierał mi się nawet przez pięć minut. Nigdy chyba nie zapomni, żem go odpaliła dla Roberta".

A teraz Jan chce jej dać do zrozumienia, że jeśli matka Anny na zawsze pozostanie jej matką, to również jego żona pozostanie na zawsze jego żoną. Czyż i on jest rozpaczliwie wierny?

Jakżeżby to mogło być? Charakterystyczne dla Alicji Severn, że gdy zaszła konieczność wyboru pomiędzy mężem a córką, wybrała córkę.

C. d. n.

PERŁY

Sztuczne perły — Ceny pereł — Jak długo perły żyją — Zwycięstwo „namiastki"



Muszla od wewnątrz

Równolegle z usiłowaniami utrzymania i jak najintensywniejszego przyrostu muszel perłowych, przeprowadza się od dłuższego czasu próby zwiększenia produkcji pereł zapomocą sztucznych środków. Oczywiście nie idzie tu zgoła o wytwarzanie sztucznych, a więc w gruncie rzeczy fałszywych pereł, — lecz o to jedynie, by podniecić muszle do obfitszego a również i do szybszego wytwarzania prawdziwych pereł.

Woreczek perłowy

Zagadnienie to stało się możliwem do rozwiązania dopiero z chwilą, gdy zapomocą mikroskopu zbadano dokładnie cały proces tworzenia się pereł. Jądro perły otoczone jest grubym pokładem komórek pochodzących z naskórka płaszcza skorupy i spełniających identyczne funkcje, a mianowicie wydzielanie periostrakum, pryzmatów i warstw perłowej macicy, celem zizolowania tkwiącego wewnątrz obcego ciała. W miarę postępu tej pracy i w miarę wzrostu perły ów „woreczek perłowy" rośnie coraz bardziej skutkiem pomnażania się komórek i odsuwa się coraz dalej od swego centrum.

Mikimoto — jeden z najbogatszych ludzi

Fakt ten wykorzystał praktycznie Japończyk nazwiskiem Mikimoto. Rozchyla on muszlę perłową tylko na tyle, aby można do niej wprowadzić jakieś obce ciało. Owo obce ciało, kulkę sporządzoną z dowolnego materjału (początkowo Mikimoto używał kulek porcelanowych wielkości ziarnka śrutu) otacza on jednak poprzednio małym skrawkiem żywej tkanki muszlanej, świeżo z muszli wykrajanej. Tkanką tą owija zupełnie kulkę, utworzony w ten sposób woreczek perłowy zawiązuje i wprowadza go do wnętrza muszli. Komórki tego sztucznego woreczka perłowego żyją dalej spokojnie, wrastają w swe nowe miejsce pobytu i zaczynają wkrótce spełniać swe normalne funkcje: wytwarzają perłę, otaczając ową kulkę szeregiem warstw. Mikimoto zatem, — dziś zapewne już jeden z najbogatszych ludzi na świecie, — przez te swoje doświadczenia, rozpoczęte przed jakiemiś 15 laty, może powiedzieć o sobie, że postawił słynne jajko Kolumba. Zmusza on poprostu muszle do wytwarzania pereł, — przyczem ma jeszcze niemal pewność, że owe perły będą przeważnie równiutkie, okrągłe, bez zarzutu. Na jego farmie, obejmującej dziś około 400 hektarów, gdzie ma się szczepić corocznie około 300 tysięcy muszel, zbiera się już teraz co roku piękny plon pereł japońskich, o ślicznym połysku, doskonale okrągłych, o wadze 0·1 do 0·4 grama, czyli 0·5 do 2 karatów. A to już są ładne okazy.

Pojawienie się tych pereł Mikimoto, czyli pereł japońskich sztucznie hodowanych, na rynkach jubilerskich w roku 1921 oznaczało groźne niebezpieczeństwo.

Klucz dla oszacowania wartości pereł

Są to niewątpliwie perły prawdziwe, wyprodukowane przez muszle perłowe. Konkurować one mogą skutecznie z perłami utworzonemi drogą naturalną zarówno na punkcie połysku, formy i wielkości, — a oczywiście mogą być sprzedawane znacznie taniej niż te ostatnie. Wielkie doskonale okrągłe perły bez skazy były już oddawna artykułem niesłychanie drogim, tem droższym, że jak wiadomo — w przeciwieństwie do djamentów — mają one ograniczony okres życia.

Cena osiągana za perłę doskonale okrągłą była zawsze nieporównanie wyższą od ceny za perłę tej samej wielkości, ale mającą choćby najdrobniejszą skazę we formie. Wypośrodkowanie wartości perły odbywało się przez długi czas (a i dziś jeszcze się odbywa) w sposób następujący: za jednostkę bierze się małą perłę wagi jednego karata t. j. 0·2 grama, która w danym czasie mogła kosztować jakie trzy marki n. Otóż dla wypośrodkowania wartości większej perły mnożyło się tę cenę przez jej wagę (w karatach) podniesioną do kwadratu, a uzyskany iloczyn mnożyło się jeszcze raz przez 8. Perła zatem ważąca 6 karatów kosztuje $3 \times 6 \times 6 \times 8 = 864$ marek n. Oczywiście przy perłach wyjątkowo dużych lub pięknych dobijało się do tej ceny jeszcze bardzo nieraz znaczny dodatek. Wielkie perły, wagi 50 karatów, należące już do rzadkości, miałyby wedle powyższego klucza kosztować 60 tysięcy marek n., faktycznie jednak płaciło się za nie bezporównania więcej. A najrzadsze okazy, wagi 100 do 125 karatów, bez skazy, osiągały już oddawna wprost fantastyczne ceny.

Oczywiście zabarwienie gra tu najważniejszą rolę. Perły czysto białe są przeważnie droższe od pereł żółtawych.

Nawet fachowiec się nie pozna

Jasną jest rzeczą, że laik nie potrafi odróżnić perły naturalnej od wyhodowanej sztucznie. Ale i dla fachowca nie jest to wcale rzeczą łatwą. Dopóki Mikimoto sporządzał jądro perły z jakiegoś materjału jak np. z porcelany, — można było jeszcze bez trudu stwierdzić różnicę przez oznaczenie ciężaru gatunkowego. Odkąd jednak sporządza on kuleczki z masy perłowej, wślad za czem idą minimalne zaledwie różnice ciężaru gatunkowego, niepodobna niczego stwierdzić stanowczo, bez uszkodzenia samej perły. Jak wiadomo jednak, perły, zwłaszcza niepokalanie okrągłe, przewierca się, aby je można użyć do kolji. Otóż od czasu pojawienia się na rynkach pereł Mikimoto cały szereg uczonych pracuje nad wymyśleniem i skonstruowaniem niesłychanie czułych przyrządów, zapomocą których możnaby prześwietlić cały kanalik wywiercony w perle i stwierdzić, czy wszystkie warstwy wewnątrz perły ułożone są w identyczny sposób jak w perłach wytworzonych naturalną drogą, czy też wewnątrz występują pewne odchylenia w ułożeniu się poszczególnych warstw. Przypuszczać się godzi, że Mikimoto starać się będzie specjalnie o wyprodukowanie wyjątkowo dużych pereł, — co wśród pereł wytworzonych drogą naturalną należy do rzadkości.



Kolonja perłowców

Perły mają swoje imiona

Dlatego to perły rzeczywiście bez skazy, wielkości powyżej orzecha laskowego, są tak wyjątkowo rzadkie. Przy bardzo wielkich egzemplarzach musi się niekiedy ostrożnie usunąć kilka warstw zewnętrznych, aby w ten sposób sporządzić perłę wprawdzie mniejszą, ale bardziej wartościową dzięki swym doskonałym kształtom. Toż samo dzieje się również i wtedy, gdy warstwy zewnętrzne nie mają pożądanego pięknego połysku.

Dlatego to największe najpiękniejsze okazy pereł, jakie istniały wogóle, można poprostu policzyć na palcach. Miały one — że się tak wyrażę, — swoje imiona, — jak naprzykład owa słynna perła, którą Kleopatra miała rozpuścić w occie winnym i wypić na zdrowie Antonjusza, a która licząc na dzisiejsze pieniądze, przedstawiałaby wartość około półtora miljona marek n., — lub owa owalna perła, wielkości jaja gołębiego, zwana „La Peregrina”, znajdująca się w posiadaniu króla hiszpańskiego Filipa II, a oszacowana na 80 tysięcy dukatów w złocie.

„Zamieranie” pereł

Słynne te okazy nie przechowały się jednak, gdyż perły mają ograniczony okres życia. Prawda, że są one niesłychanie twarde i odporne na wszelkie mechaniczne wpływy: rozbić naprzykład perłę zapomocą młotka, to sztuka nielada. Ale tracą one swój połysk, a co za tem idzie i swą wartość. Wilgoć lub nadmierna suchość, światło, wahania temperatury, zawartość kwasu w powietrzu, — wszystko to działa szkodliwie na konstrukcję zewnętrznych warstw powłoki perłowej, doprowadzając nawet, przy dłuższem działaniu, do jej zupełnego rozpadnięcia. Obliczają, że perła może „żyć” od 50 do 100 lat, w wypadkach wyjątkowo pomyślnych od 150 do 200 lat.

Temu zamieraniu prawdziwych pereł nigdy zapobiec się nie da; co najwyżej można ten proces opóźnić. A właśnie dlatego, że perły mają żywot ograniczony, cena ich utrzymuje się na tak wysokim poziomie. Dopiero Mikimoto znalazł sposób na przyśpieszenie i zwiększenie produkcji pereł, znacznie wydatniejsze, niżby to było możliwe w normalnych warunkach. Na pytanie, czy perły sztucznie wyhodowane są perłami prawdziwemi, odpowiedział pewien fachowiec słusznie: „Naturalnie, — w tym samym stopniu, jak pieczarki wyhodowane w piwnicach lub owoce uzyskane na drodze szczepienia”. A wydaje się mi przedsięwzięciem zupełnie beznadziejnem namówić amatora pieczarek, aby nie jadał pieczarek wyhodowanych sztucznie, lecz tylko takie, które same wyrosły. Bo przecież jedne i drugie zupełnie jednako smakują.

Dr EUGENJUSZ NERESHEIMER

KRONIKA

— W Warszawie odbył się zjazd działaczek feministycznych, t. zw. „Małej Ententy Kobiet”, z udziałem przedstawicielek Bułgarji, Czechosłowacji, Grecji, Jugosławji, Polski i Rumunji. Przed zjazdem, delegatki zwiedziły P. W. K. w Poznaniu. Oto jak niektóre z nich mówią o swych wrażeniach. Aleksandra ks. Kantakuzen (Rumunja): „P. W. K. jest wspaniałem unaocznieniem odrodzenia Polski i najwymowniejszą odpowiedzią niedowiarkom, wątpiącym o żywotności waszego państwa. Wywiera ona potężne wrażenie, pod którego wpływem dotychczas się jeszcze znajduję. Jest to bezspornie najpiękniejsza i najokazalsza z wystaw, jakie się odbyły ostatniemi laty. Wykresy i statystyki nadają jej przytem doniosłość naukową nieocenionej wartości. Najbardziej podobał mi się pawilon prasy. Zwróciłam również szczególną uwagę na stoiska poświęcone opiece społecznej, w której kobieta polska daje dowody ofiarnej pracy na niwie publicznej, ujawniając zarazem swą niesłychaną energję i płomienny patrjotyzm”. — Anna Czerwena (Czechosłowacja): „Jestem olśniona i zdumiona P. W. K., która przewyższa swym ogromem urządzoną u nas w ub. roku wystawę w Brnie. Podobały mi się zwłaszcza pawilony przemysłowe i prasowy. Z zachwytem oglądałam barwne kilimy, ukazujące niewyczerpane źródło pomysłowości i estetycznego poczucia ludu polskiego. Bardzo mi się również podobał dział koszykarstwa. Osobiście zaś szczególniej się interesowałam i podziwiałam dział szkolnictwa zawodowego, stwierdzając olbrzymie postępy, poczynione przez Polskę w tej dziedzinie dzięki wybitnemu udziałowi kobiet. Z szacunkiem też oglądałam dział szkolnictwa komunalnego. Widziałam film osnuty na tem tle, który naocznie nas przekonał, jaki ogrom pracy wkłada się w tę sprawę i jak piękną rolę odgrywa przytem kobieta polska”.

— Związek astrologów w Nowym Jorku zamierza stworzyć, dla popierania badań astrologicznych, międzynarodowe archiwum horoskopów, ustalających życie danej jednostki w zależności od ciał niebieskich. Nowojorscy astrologowie mają się zwrócić do pokrewnych stowarzyszeń całego świata z prośbą o nadsyłanie horoskopów ludzi o niezwykłych losach. Specjalny oddział tego archiwum stanowić będzie zbiór horoskopów wybitnych osobistości.

— Odbył się w Bolonji ślub głośnego kapitana Mariano, który był uczestnikiem tragicznej wyprawy gen. Nobilego do bieguna północnego. Kpt. Mariano zaślubił pannę Bianconcini z rodziny książąt de Mignano. Jak wiadomo, kpt. Mariano stracił nogę podczas swych groźnych wędrówek po pustyni lodowej.

— Statystyka wykazuje, że krajem ludzi, najdłużej żyjących na świecie, jest Kolumbja. Najstarszy obywatel Kolumbji, Luis Agudelo, świeżo obchodził 142 rocznicę urodzin. Starzec mieszka we wsi Concepcion w prowincji Antiqui, a jak sam opowiada, ani razu nie opuścił kraju rodzinnego. Doniedawna ciężko pracował fizycznie i doskonale pamiętał wypadki z przed 120 lat. Około 300 mieszkańców tejże prowincji Antiqui przekroczyło setny rok życia. Zdaniem lekarzy, nie bez wpływu są tu doskonałe stosunki zdrowotne okolicy. Zboże ma tam zawierać szczególnie dużo witamin.

— Zmarła niedawno w Nowym Jorku lekarka dr Gabrjela Harrison przeznaczyła testamentem cały swój majątek, przekraczający 9 miljonów złotych, na wybudowanie hotelu dla wdów i kobiet opuszczonych przez mężów. Mieszkanki tego hotelu czy raczej pensjonatu nic nie płacą za swe utrzymanie i mają zapewnione wszelkie wygody.

— Miss Sylwja Argyl z Glasgow obchodziła w tym roku setną rocznicę swych urodzin. Magistrat tego miasta (w którem staruszka mieszka od 10-go roku życia) oficjalnie złożył jubilatce życzenia. Burmistrz udał się osobiście do miss Argyl i w obecności delegatów magistratu oraz grona znajomych staruszki złożył na jej czole uroczysty pocałunek. Wzruszona solenizantka oświadczyła reporterowi jednego z pism, iż od 10-go roku życia, w którym zmarli oboje jej rodzice, a więc od lat 81, nikt jej nigdy nie pocałował.

TEATR SZKOLNY

NA POWSZECHNEJ WYSTAWIE KRAJOWEJ

Leży przede mną skromna broszurka programu „Teatru Szkolnego".

Oto program, a zarazem krótki rys pracy, tego osobliwego teatru. Zanim poczną badać i segregować jego działalność, pragnę wpierw w niewielu słowach skreślić jego powstanie, i cel przedewszystkiem, a potem kilka jego głębszych, może do pewnego stopnia nowych w dziejach teatru walorów, dzięki którym zapisze nam się ten skromny „Teatr Szkolny" w trwałej i wdzięcznej pamięci.

Teatr Szkolny zorganizowano jako imprezę wystawową z polecenia Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Zorganizowany został przez Poznańskie Kuratorjum, dzięki niestrudzonym staraniom jego kierowników, dra Stefana Papée, wybitnego teatrologa, prof. A. Schmidta i prof. Kałużnego, przy poznańskim gimnazjum im. Marcinkowskiego.



Na błoniu: zabawa pasterek i pasterzy

Z całej Polski, a niekiedy i z zagranicy, śpieszą wycieczki młodzieży szkolnej na P. W. K. w Poznaniu, aby zwiedzić Wystawę, a i bardzo często popisać się na scenie Teatru Szkolnego. Zespół taki przywozi ze sobą literalnie wszystko, a na długo już przedtem zgłasza repertuar; przybywa z aktorami-uczniami, z reżyserem, profesorem lub nauczycielką, z dekoracjami, z kostjumami, orkiestrą i z wszystkiem czego pragnie dusza aktora i widza. Stąd też i bajeczna rozmaitość tego teatru: dziś występuje kółko krajoznawcze młodzieży wileńskiej, na scenie lud wileński ze swą śpiewną mową, z cichemi ubogiemi strojami, jutro może być klasyczna „Antygona", pojutrze „Turoń" Żeromskiego, albo też radosna pieśń o sobótce naszego mistrza z Czarnolasu.

Premjery bywają codzień, co dwa, najwyżej co trzy dni. Nieprawdą jest, że grać mogą tylko artyści zawodowi i wyszkoleni; jest jakaś zdumiewająca świeżość i czar prawdziwej poezji w tych rozlicznych kreacjach młodocianych aktorów, w tych kreacjach ujętych poprostu i niekiedy zdumiewająco silnie. — Każdy reżyser zawodowego teatru ma do dyspozycji ograniczony zastęp bohaterów, bohaterek, tancerek, śpiewaczek, i na tem koniec. A tu, taki reżyser-amator, pan profesor z X lub pani profesorka z Y, która prócz swej ciężkiej zawodowej pracy trochę kocha teatr, ma do dyspozycji wszystkich uczniów swego zakładu, a więc bogatą galerję rozmaitych typów, — ich szczery zapał (bo któżby nie chciał „odgrywać"), — ich życiem jeszcze niestępioną, świeżą wrażliwość, a przedewszystkiem młodość, młodość która wszystko może, wszystko potrafi, jeżeli tylko chce.

Oto są walory tego niezwykłego teatru. Jego program — jakeśmy już wspominali — dość urozmaicony. Lwia część przedstawień — to inscenizacje regjonalne, ludowe (inscenizacje poczęści całkiem samodzielne uczniów i członków kół krajoznawczych). Wnoszą one, poza rzetelną wartością etnograficzną, element niestety u nas bardzo rzadki, beztroską radość, rozśpiewaną w takt krakowiaka czy oberka.

Teatr Szkolny to nietylko teatr regjonalny, to teatr eksperymentalny; widzimy tu utwory nie grywane na scenach, jak „Krakus" Norwida, inscenizowane najrozmaitsze ballady, romanse i nowele; te ostatnie zdobyły sobie nawet duży poklask za „Księdza Piotra" Tetmajera, którego odegrał zespół z gimnazjum w Szamotułach (Wielkopolska). O technice takiej inscenizacji możnaby się obszernie rozpisać, niestety ograniczone miejsce nie pozwala na to; efekty osiągane najprostszemi środkami bywają niekiedy zdumiewające.

Teatr Szkolny — to teatr klasyczny: pod kierownictwem znakomitego filologa i miłośnika antycznego teatru prof. Cybulskiego wystawił szereg komedyj i tragedyj starożytnych (Ptaki Arystofanesa, Antygonę Sofoklesa i i.). Teatr Szkolny — to wreszcie teatr retrospektywny: wystawił bowiem „Tragedję o Polskim Scylurusie" jakiś rok 1600.

Oto jaki jest Teatr Szkolny. Ten teatr zorganizowany jako impreza wystawowa, jako część niejako wystawy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświaty Publicznej — to bardzo ciekawy eksponat... Znużeni przeglądaniem setek tablic, podręczników, wykresów i statystyk szkolnych, przychodzimy tu, i widzimy to co przecie jest najważniejszym czynnikiem tego wszystkiego: samą młodzież, widzimy ją najczęściej rozśpiewaną na najbliższą sercu narodową nutę, i cieszymy się, klaskamy przy podniesionej kurtynie. Oto wystawa młodości i wesela!

J. SŁAWIK-ŁUBIŃSKA



Tyrezjasz i Kreon, postacie sceniczne z „Antygony" Sofoklesa

POGADANKA O KWIATACH

W połowie sierpnia prawie wszystkie kwiaty ogrodowe są w pełni rozwoju, zatem starania nasze w tym kierunku ograniczają się do utrzymania grządek w czystości, podlewania w razie potrzeby, podwiązywania roślin wyższych, mogących ulec uszkodzeniu przez wiatry i usuwania zmarniałych liści oraz szpetnych łodyg, pozostałych po minionych kwiatach. Szczególnie pod tym ostatnim względem musimy pielęgnować i oczyszczać nasze róże, dalje i gladiole (mieczyki), by nie pozostawiać na nich przemijających kwiatów, najczęściej mocno szpetnych.

Na niektórych grzędach wcześniejsze kwiaty już zakończyły swój okres godowy, barwne ich płatki opadły na ziemię, pozostał tylko szereg zawiązków nasiennych, nie zdobiących wcale danej przestrzeni. Należy je usunąć, zaś na ich miejsce możemy wysadzić przetrzymane w doniczkach begonje kwiatowe, skarlety, pełne petunje i inne odpowiednie kwiaty. To jest również odpowiednia pora do przesadzania (z grzęd zapasowych) jednorocznych astrów, będących pod koniec lata w pączkach, lub nawet z pierwszemi kwiatami; ta ostatnia okoliczność jest bardzo sprzyjająca, gdyż wyraźnie widzimy jakie odmiany sadzimy i w jakich barwach. Ale może nie wszyscy wiedzą, że kwitnące już astry doskonale znoszą przesadzanie, chodzi tylko o to, by na godzinę przynajmniej przed tą czynnością podlać je mocno, by przy wykopywaniu spora bryła ziemi dobrze trzymała się przy korzeniu. Najlepiej je przesadzać w dzień pochmurny, jeżeli zaś w słoneczny — to przed samym wieczorem i natychmiast je podlać na nowem stanowisku.

Połowa sierpnia — to najwłaściwsza pora do przesadzania i dzielenia niektórych bylin (kwiatów zimotrwałych czyli wieloletnich, a głównie serduszek różowych (Dielytra) oraz różnych odmian piwonji. Przy tej czynności, łodygi tak jednych jak i drugich winny być ścięte nad najniższem liściem, korzenie zaś ostrym nożem dzielone w ten sposób, by każdy ich kawałek (szczególnie u piwonji) posiadał u góry „oczko", t. j. jakgdyby mały dziobek, biały lub różowy, z którego na wiosnę wyrośnie nowa łodyga. Serduszka różowe pod tym względem są mniej wymagające, gdyż części ich korzeni, pozornie nie posiadające nawet oczka, jednak z wiosną wydadzą nowy przyrost. Tu zwracam uwagę, że piwonje należy sadzić bardzo płytko, by szczyt ich korzeni był pokryty warstwą ziemi na 1—2 cm grubą, posadzone zaś głębiej wprawdzie wydadzą znaczną ilość liści, ale najczęściej wcale nie kwitną. Kto więc ma u siebie takie niekwitnące piwonje, niech je teraz płyciej posadzi.

Obok kwiatów przyjemnie jest mieć również piękne truskawki; połowa sierpnia jest najodpowiedniejszą porą do ich przesadzania. Należy grzędę zawczasu przygotować, przekopać i spulchnić co najmniej na 20 cm głęboko. Następnie na rozsadę możemy użyć młodych krzaczków, które się potworzyły na wąsach szlachetnych truskawek, wybierając między niemi te, które już same mocno się zakorzeniły. Największe liście należy im odciąć, korzenie nieco skrócić, zamaczać je w papce z gliny i krowieńca, a następnie starannie i umiejętnie posadzić na odległość co najmniej 50 cm między krzaczkami; na bardzo pożywnej ziemi należy je sadzić rzadziej, nawet co 80 cm. Po posadzeniu rośliny podlać. W następnym roku będziemy mieli zbiór pierwszy, stosunkowo niewielki, a dopiero w drugim i trzecim roku będzie obfitość pięknych owoców.

O ile cebulki lilji białej nie zostały rozsadzone w początku sierpnia, to można jeszcze to uczynić i w drugiej połowie tego miesiąca, przyczem młodych, przyziemnych listków nie należy odcinać. — W ciągu miesiąca zrobić sadzonki z roślin gruntowych, które mamy zamiar przezimować w doniczkach, jak wyborowe odmiany werbeny, petunji pełnej, lobelji, ageratum, penstemonów, a nawet i różnych odmian pelargonji. — Siać lewkonje nicejskie oraz rezedę Machet (ta ostatnia wprost w doniczki), by nam kwitły w ciągu zimy.

Rośliny doniczkowe, które w ciągu lata mocno się rozrosły i wypełniły korzeniami całą zawartość ziemi, należy teraz przesadzić w większe doniczki, by przez zimę nie cierpiały głodu. — Złocienie (chryzantemy) wielkokwiatowe, które dotąd rosły w gruncie, w końcu sierpnia należy wysadzić do doniczek, starannie podlewać nawozami płynnemi, trzymać chłodno i jasno, a w jesieni pięknie zakwitną. — Począwszy od końca miesiąca, wszelkie rośliny — które tego potrzebują — podlewać jedynie w godzinach porannych, a nie wieczorem, jak to czyniliśmy w ciągu lata.

W początkach września przesadzać i dzielić te rośliny, które mają kwitnąć na wiosnę, jak: Aubrietia, Arabis alpina, Alyssum saxatile, Phlox subulata i jemu podobne, stokrotki i t. d. — Cebulki holenderskie: hiacynty, tulipany, narcyzy, szafrany i t. d., w ciągu września wysadzić do gruntu, co najmniej na 10 cm głęboko, lub nawet jeszcze głębiej; dla szafranów wystarczy głębokość 5 cm. W początkach listopada należy je nakryć cienką warstwą suchych liści, starym nawozem lub gałązkami świerkowemi. Jeżeli w ciągu zimy chcemy mieć w pokoju kwitnące hiacynty i inne rośliny cebulkowe, to we wrześniu, a najpóźniej w październiku sadzimy je do doniczek, ale tak płytko, by czubek cebulki był narówni z powierzchnią ziemi; początkowo należy je trzymać na dworze, na deszczu jesiennym, a w razie suchej pory podlewać, gdyż stała, umiarkowana wilgoć jest konieczna dla należytego zakorzenienia się cebulek, co jest niezbędne dla rozwoju pięknych kwiatów. Pod koniec października przeniesiemy je do piwnicy lub chłodnej szklarni, o czem mówić będę w październiku.

W ciągu sierpnia i września zbierać nasiona z różnych kwiatów, drzew i krzewów, w miarę tego jak dojrzewają. — W końcu sierpnia, na gruntach lekkich, suchych, można przesadzać drzewa szpilkowe, jak świerki (Picea), jodły (Abies), a szczególnie żywotniki (Thuja); sosny i jałowce lepiej jest przesadzać w marcu, który to miesiąc jest najodpowiedniejszy do przesadzania wszystkich drzew i krzewów szpilkowych.

S. MAKOWIECKI

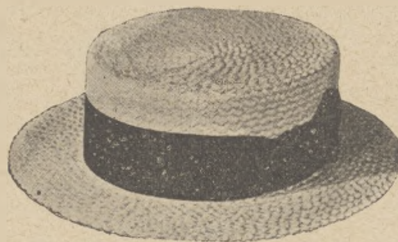
COŚNIECOŚ DLA PANÓW

DROBIAZGI

W połączeniu słomkowego kapelusza z płaszczem leży sprzeczność. Słomka bowiem nadaje się wyłącznie na dnie pewnej, słonecznej pogody, a wówczas płaszcz jest zbędny chyba.

*

Rękawy okryć powinny być zawsze dłuższe od rękawów ubrania, a ponieważ z pod tych ostatnich wysuwają się brzegi mankietów, należy i ten szczegół brać w rachubę.



*

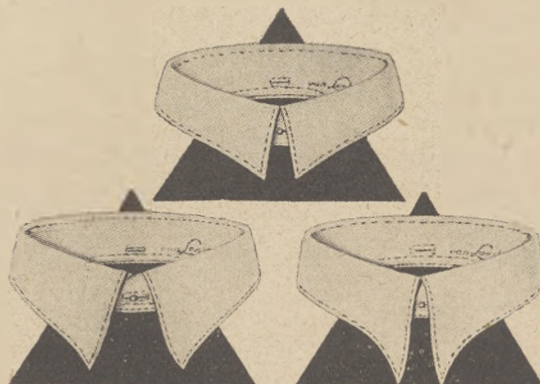
Tak jak jasne obuwie kłóci się z ciemnem ubraniem, tak jasne ubranie nie znosi ciemnego obuwia.

*

Obuwie z gumową podeszwą jest odpowiednie na niepogodę i do niektórych sportów, czyli do pewnego typu ubrania. Noszenie ich na stałe, lub w podróży, jest nieodpowiednie nawet i ze względów higjenicznych. Stopa zanadto się rozgrzewa z powodu utrudnionego oddechania skóry i nadmiernie transpiruje.

*

Pullover zamiast kamizelki można nosić jedynie pod jednorzędową marynarką, a to dlatego, że dwurzędowa, jako o charakterze poważniejszym, nie nadaje się do tego i że nie nosi się jej rozpiętej.



*

Skarpetki muszą harmonizować z kolorem ubrania, a ponieważ w tych ostatnich przeważa granatowy, niebieski, popielaty, zatem i skarpetki są we wszystkich odpowiednich im odcieniach. W krajach o klimacie chłodniejszym widać przewagę ciemnych skarpetek, a na południu jasnych.

*

Długie pończochy, o elastycznym brzegu trzymającym się bez podwiązek, wypierają coraz energiczniej skarpetki. Jest to zresztą logicznem następstwem krótkich fasonów bielizny, które owe długie okropności z tasiemeczkami wyrzuciły poza nawias garderoby dzisiejszego mężczyzny. Moda strzałek ręcznie haftowanych utrzymuje się nadal tak na skarpetkach jak na pończochach gładkich lub przerabianych.

*

W ubraniu mężczyzny, wedle zdawna ustalonej zasady, mogą być najwyżej dwa kolory zaakcentowane. Ale ostatnio propaguje Ameryka przymieszkę trzeciego koloru i spotyka się z pełnem uznaniem Europy. Tę trzecią, odrębną nutę ma wnosić krawat. Oczywiście, dobry gust i znajomość harmonji barw decyduje o szczęśliwym wyborze.

*

O krawatach, ich wzorach, barwach, odmianach, fasonach, sposobach wiązania możnaby rozprawiać bez końca, albo conajmniej napisać sporą broszurkę. Postaram się jednak ograniczyć do najniezbędniejszych wskazówek, by nie nudzić szczegółami, które nie każdego jednakowo zajmą.

Jak wiadomo, do modnych kolorów należą: wszystkie odcienie granatowego, niebieskiego, czerwonego i czerwonawo-brunatnego. Poza klasycznemi.

Do kolorowej koszuli należy dobierać krawaty do tonu, czyli w jednym z jej odcieni.

Do białej lub kremowej nadaje się każdy z wymienionych wyżej kolorów.

W ostatnim sezonie reklamowane forsownie przez najelegantsze magazyny, krawaty zielone nie znachodzą amatorów; mężczyźni twierdzą, że nie są do twarzy.

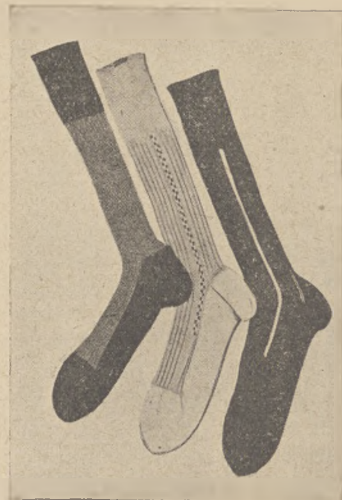
Wyliczone w jednym z poprzednich numerów desenie utrzymują się nadal, ale wymagają pewnych objaśnień. Szerokie pasy krawatu muszą być stonowane z kolorem koszuli; jest to niezbędny warunek. Drobne wzory, a nawet nieznaczne paski nie są tak ekskluzywne i łatwiej godzą się z całością. Drobny wzór w stylu angielskim nigdy nie wyjdzie z mody, ponieważ robi spokojne, wytworne wrażenie. Grochom, po niebywałym sukcesie zeszłorocznym, przepowiadano banicję — jak się okazało: przedwcześnie. Utrzymały się zwycięsko; wniesiono tylko drobne zmiany w ich układ, skombinowano je z paskami, kratkami i podano w trochę odmiennem połączeniu barw, aniżeli w ubiegłym sezonie.

Do podróży i do sportu szkocki deseń cieszy się nigdy nie gasnącem powodzeniem, i ma na-

Dok. na str. 376







PRZYSZŁE MATKI

Kwestja stroju w okresie macierzyństwa, zanim dziecko na świat przyjdzie, jest zagadnieniem poważnem ze względów higjenicznych i estetycznych.

Zapatrywanie, że kobieta w tym okresie powinna zrezygnować z chęci podobania się, ubierać się bylejak i nie dbać o wygląd zewnętrzny, jest najzupełniej fałszywe.

Właśnie wtedy obowiązkiem jej wobec siebie samej i swego otoczenia jest estetyka ubrania. Właśnie wtedy zdwoić musi starania o miły wygląd, o tak umiejętne osłonięcie sylwetki, by niczyich oczu nie raziła, natomiast budziła szacunek i sympatję.

Nie wchodzi tu w grę niewczesna kokieterja, lecz względy zupełnie innej natury. Sami przecież cierpimy na widok młodziutkich kobiet obnoszących swoje ociężałe sylwetki w kusych modnych sukienkach, komponowanych dla wysmukłych, iście chłopięcych kształtów.

Jeśli zasadą każdego ubioru powinna być celowość, to chyba przedewszystkiem w tym okresie.

Z higjenicznych wymogów wymienić należy na pierwszem miejscu przesadną — jeżeli taka wogóle istnieć może — czystość bielizny oraz ubrania i dostosowanie garderoby do zmian klimatycznych. Jeżeli zatem np. w lecie są chłodne dnie, nie upierać się przy rzeczach powiewnych, lecz zmienić je na cieplejsze. Tak samo w zimie nie przesadzać w zbyt ciepłem ubieraniu się, gdyż to najprędsza droga do zaziębień. Zatem żadnych szablonów, lecz rozważne kierowanie się zmianami atmosferycznemi.

Na bieliznę nadaje się najlepiej cienkie płótno lub jedwab; wełny i flanelki należy unikać. Wygodne koszulki-combinaisons, dołem krojem t. zw. reformowym, gdyż takie najlepiej chronią jako uszczelnione. Zawiązywań w pasie i ucisków należy bezwzględnie unikać; bielizna powinna być jednolita a ciężar jej musi spoczywać na ramionach.

Piersi trzeba podtrzymywać napierśnikiem, wykonanym z lekkiej porowatej materyjki. Napierśnik nie może uciskać; zadaniem jego jest podtrzymywanie ociężałych piersi. Zapobiega to obwiśnięciu i innym dolegliwościom.

Ciasne obuwie na wysokich obcasach i uciskające podwiązki — to grzechy nie do wybaczenia.

W drugiej połowie tego okresu trzeba nosić opaskę brzuszną ze względów zdrowotnych i estetycznych. Ale nie może to być zwykły pas biodrowy, lecz prawidłowa, na miarę wykonana opaska o specjalnym typie. Nosi się ją tylko podczas ruchu w ciągu dnia, a na noc zdejmuje.

Suknie i okrycia w pierwszych trzech miesiącach nie wymagają żadnych zmian, gdyż sylwetka nie uległa jeszcze zniekształceniu. Oczywiście, w sukniach krojem princesse, ściśle przylegających do ciała, uwydatni się natychmiast najmniejsze zaokrąglenie; trzeba więc z nich zrezygnować. Dopiero z początkiem czwartego miesiąca — a i to zależy od budowy — zaczyna się potrzeba stopniowych zmian w ubraniu. Wymaga to sporo sprytu, wyrobionego zmysłu spostrzegawczego i estetycznego, ażeby wyjść obronną ręką z tej sytuacji i osiągnąć dyskretne ukrycie przejściowego zniekształcenia.

Zasadniczo unikać trzeba w stroju wszystkiego, co mogłoby nań zwrócić uwagę. Zatem: krzykliwych barw, fantazyjnych fasonów i za krótkich sukien.

Wybierać tony pastelowe, spokojne i raczej ciemne, bo te wysmuklają, w przeciwieństwie do jasnych, które poszerzają. Nie muszą to być smutne, ponure kolory; mamy przecież bogatą skalę barw ciepłych, wesołych, jakkolwiek niezbyt jasnych. Np. fiołkowy, wiśniowy, granatowy, szafirowy, popielaty, szary i t. d. Pozatem każdą suknię rozjaśnić można białym kołnierzem, koronką, żabocikiem, szalem; wówczas, nawet najciemniejsza, robi wesołe wrażenie.

Wszystkie przybrania sukien i okryć jak taśmy, zakładeczki, plisy, hafty, guziczki rozmieszczać w linjach pionowych, ostro-skośnych a nigdy poziomych. Unikać obcisłych kostjumów angielskich, oraz króciutkich żakiecików. Odpowiedniem okryciem są płaszcze z miękkiego materjału, z kołnierzem szalowym szerokim i skrzyżowanym nisko, tuż poniżej bioder. Powiewny żabot lub szalik jest doskonałem uzupełnieniem.

Modele sukien trzeba wybierać przezornie, z myślą o powolnem lecz stałem rozszerzaniu się sylwetki. Widziałam piękny i odpowiadający celowi model, którego plecy i boki były gładkie, niezbyt przylegające, a przód cały drobniutko plisowany, przytrzymany od spodu w kilku odpowiednich miejscach gumką dla nierozchodzenia się za każdym ruchem. Suknia taka rozszerza się niewidocznie, napozór nie tracąc fasonu. Do tego luźny żakiecik tak modny obecnie, z cieniutkiego jedwabiu lub z żorżety w kolorze sukni; może być z koronki. Jeśli suknia jest z cienkiej wełenki — żakiecik wykonać z tego samego materjału. Żakieciki tego typu nie wymagają podszewek. W zimie, materjały mogą być grubsze i opatrzone podszyciem.

Korzystne optyczne złudzenia wnoszą następujące szczegóły: odmiennego koloru wstawiane przody, kołnierze z długiemi końcami poza linję stanu zachodzącemi, wyłogi krzyżujące się nisko a nierówno, i wszystkie asymetrje tak w obwodzie sukien, jak i w przybraniach, kamizelki o długich, ostro zakończonych przodach.

Czasem wypada paniom w tym okresie ukazanie się na balu, weselu lub na jakichś większych przyjęciach.

Na strojne toalety wybiera się velours-chiffon, mięciutkie lamy w kolorach ciemnych, albo złote z czarnem lub mieniące wielobarwnie, i brokaty w delikatny deseń. Z lam, brokatów lub lśniącego jedwabiu robi się spód przylegający wtyle i do połowy bioder, przód swobodny. Na całość zarzuca się — jako zawoalowanie sylwetki — tiul, koronkę, gazę, zwiewną krepę i układa we wdzięczną draperję, o asymetrycznym dole.

Równie korzystnym modelem jest długi staniczek udrapowany dyskretnie, zprzodu skrzyżowany niziutko i jednym końcem zachodzący na bok. Na taki fason nadaje się velours-chiffon i wszelkie rodzaje jedwabnej matowej krepy układającej się w miękkie fałdy.

Krynolinki w czystym stylu i fantazyjne doskonale kryją kształty pod zawrotną obfitością fałdów, marszczeń i falban.

Obecna moda szczególnie korzystnie służy dyskretnemu ukrywaniu kształtów, na co się składają — prócz wymienionych szczegółów — poszerzone doły sukien, rozmieszczanie osobnych części plisowanych, marszczonych, układanych, wolantów i falban na różnych wysokościach sukni a przytem często zachodzących jedne na drugie. Wszelkie kołnierze pelerynkowate, żaboty, szale, szaliki, luźne żakiety, capes, a przedewszystkiem nierówność w obwodzie i wogóle asymetrja w szczegółach, która obecnie panuje na całej linji.

Trzeba jednak zaznaczyć wyraźnie, że wszystkie te fantazyjne przybrania, uzupełnienia i woalowania sukien muszą być wykonane z tkanin jak najcieńszych, zwiewnych, z materjałów jak najmiększych, by nie pogrubić i nie obciążyć sylwetki, która powinna robić niezdecydowane wrażenie. Szczegóły te muszą wyglądać raczej na indywidualne fantazje i kaprysy toaletowe, aniżeli na ukrywanie czegokolwiek.

Na indeksie garderoby przyszłych matek stoją dwa ulubione obecnie modele: garsonka i princesse. Pocieszmy się, że na krótko tylko...

* * *

MODELE MÓD

TOALETY NA UROCZYSTOŚCI ŚLUBNE



934 Suknia z białej żorżety dla Panny Młodej. Stanik przylegający, z kloszową krezką u szyi, o nierównym obwodzie; spódniczka kloszowa przybrana falbankami. Welon z iluzji.

935 Suknia z szarej koronki dla matki Panny Młodej. Stanik skrzyżowany, spódniczka z dwóch kloszowych falban, z których dolna ma obwód nierówny. Pasek z aksamitki, spięty efektowną klamrą.

936 Suknia z białej tafty, dla Panny Młodej. Staniczek obcisły, zapinany kryto zprzodu, u wycięcia maluchny wianuszek z kwiatu pomarańczowego. Spódniczka z tafty krótka, przymarszczona, a na nią zarzucone sute zwoje białego tiulu.

937 Suknia dla drużki z blado-niebieskiej krepy chińskiej. Staniczek przylegający, zapięty na plecach, od pasa wdół po bokach drobne zakładeczki. Spódniczka złożona z pięciu wolantów kloszowych.



938 Suknia z czerwonej żorżety, naszyta górą dwiema pliskami, od bioder wdół kloszowemi falbankami. Pasek aksamitny.
939 Suknia z morskiej crêpe satin. Stanik skrzyżowany, ozdobiony opalizującemi kamykami. Dwie kloszowe falbany o asymetrycznym obwodzie tworzą powiewną spódniczkę.
940 Suknia princesse z krepy chińskiej, barwy kwiatu lipowego. Na biodrach drobniutkie zakładeczki w zęby, z pod których wyłaniają się plisowane wolanty poszerzające obwód sukni.
941 Suknia z dwóch materjałów: stanik z białego lśniącego jedwabiu z zakładeczkami stebnowanemi grubym czarnym jedwabiem; klamra czarna. Plisowana spódniczka z czarnego tiulu, na czarnym spodzie. Szalik również z tiulu.



942 Suknia z żorżety w deseń, przybrana plisowanemi falbankami z białej. Spódniczka kloszowa, pasek zamszowy.

943 Suknia z muślinu wzorzystego, z kamizeleczką bez rękawów. Górna część lekko zbluzowana w pasie, u wycięcia przewleczona aksamitką. Spódniczka kloszowa; dół w zęby.

944 Suknia z etaminy ze szlakiem, który użyty jest jako przybranie. bluzki górą, tworząc karczek, oraz dołem plisowanej spódniczki. Na przodzie bluzki monogram; pasek z dwóch kolorów skóry

945 Suknia z lekkiego jedwabiu w deseń, z ciemną pliską przy szyi. Przód i tył spódniczki w układane fałdy, boki gładkie.



946 Suknia z błękitnego marocain, ozdobiona zakładeczkami. Spódniczka częściowo plisowana, częściowo układana w fałdy.
947 Sukienka z fularu w deseń, kołnierz z organdi. Odcinany wolant kloszowy.
948 Suknia z surowego jedwabiu, ozdobiona fantazyjnemi plisami jedwabnemi, guziczkami i monogramem na rękawie.
949 Suknia z krepy chińskiej wzorzystej, kołnierz, wkładka i mankiety z białej; biały pas zamszowy.



950 Garsonka z szafirowego jerseyu, przybrana guziczkami, pasek ze skóry; spódniczka w szerokie kontrafałdy, częściowo zastebnowane. Płaszcz ciemno-szafirowy z gabardyny.

951 Płaszcz z ciepłej wełny beige w bronzowe pasy, krojem kloszowym; rękawy raglanowe. Stebnowany pasek z materjału.

952 Podróżny kostjum z' lekkiej wełny w jasnym odcieniu. Żakiet jednorzędowy, bluzka z białego jedwabiu do prania, spódniczka gładka, z jednym wstawionym fałdem. Luźny płaszcz z wełny deseniowej.



953 Płaszczyk z ciepłego materjału, lekko przylegający, dołem poszerzony kloszowo i zapięty na trzy guziki. Duże kieszenie nakładane, brzegi kołnierza, wyłogów i obwód dołem ozdobiony stebnem.

954 Sukienka z crêpe satin koloru lawendy; spódniczka częściowo plisowana, bluzeczka gładka, zapięta na szklane guziczki. Pasek zamszowy w dwóch kolorach: lawendowym i granatowym. Luźny płaszcz z grubej, miękkiej wełny angielskiej w kratę. Kołnierz futrzany.

955 Suknia półwieczorowa z velours - chiffon w kolorze złotawym, przybrana koronką. Bronzowy cape, podszyty wataliną i złotawym jedwabiem. Na głowie kask z mieniącej lamy.

956 957 958

956 Sukienka ogrodowa z dwóch materjałów; kloszowa spódniczka z ciemnego kretonu, bluzeczka z białego w kratę. Guziczki i wstążka u szyi w kolorze spódniczki.

957 Powiewna sukienka popołudniowo-wieczorowa na zabawy ogrodowe, dancingi i t. p. Materjał: etamina w deseń, fular lub muślin.

958 Sukienka na każdą porę dnia, wykonana z jasnego woalu. Bluzeczka ozdobiona zakładeczkami i guziczkami z perłowej masy. Kołnierzyk z linon lub jedwabiu do prania, krawat szkocki, pasek z czerwonej skóry, spódniczka plisowana.

959 Sukienka z perkaliku w deseń, przymarszczona kilkakrotnie poniżej pasa i ujęta gumką. Karczek odcinany.

960 Sukienka z materjału do prania w deseń; poniżej pasa falbanka w sute klosze. Przy wycięciu szeroki wolant związany wstążeczką.

961—962 Ubranka chłopięce; bluzy z białej piki lub lekkiej wełny, ujęte w pasie na gumkę; spodenki granatowe.

963 Ubranko z białej piki, albo z lodenu. Bluza po wierzchu, pasek ze skóry.





959 960 961 962 963

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

Dok. art. ze str. 367

wet swój odrębny wdzięk, o ile kolory są pastelowe.

Krawaty długie z gładkim lub szkockim szlakiem przeznaczone są do ubrań noszonych bez kamizelki. Ażeby zaś ich końce nie fruwały zbyt swobodnie, wynaleziono obrączki przytrzymujące je dołem od spodu. Również motylki do wiązania wykończone są na brzegach szlaczkiem.

Odpowiednie krawaty do sztywnych kołnierzy wieczorowych z zagiętemi rogami: frakowe, smokingowe, motylek do czarnej marynarki, i żakietowy czarno-biały krawat do wiązania, albo plastron, który niespodzianie wrócił do mody.

Plastrony bywają noszone także do żakietu i do czarnej marynarki, przeważnie na urzędowe konferencje. Robione z jedwabiu w drobniutki deseń, w paski albo w czarno-srebrzysty marmurek.

Na uroczystości ślubne, do żakietu, wkłada plastron nietylko pan młody, ale i goście.

Plastron wymaga szpilki albo w zwykłej formie, albo w formie długiej agrafki. Ażeby szpilka robiła dobre wrażenie, musi być skromnym lecz wytwornym klejnotem.

GENTLEMAN



Rys. 221. — Firanka tiulowa o wymiarze 150×250 cm, ozdobiona haftem na tiulu; brzegi motywu środkowego i falbany należy obdziergać. Do haftu użyć lśniącej bawełny D. M. C. „Moulliné" Nr 14 i haftować podwójną lub potrójną nitką, zależne od grubości tiulu.

Proj. Józef Babiak





Rys. 222



Rys. 223



Rys. 224

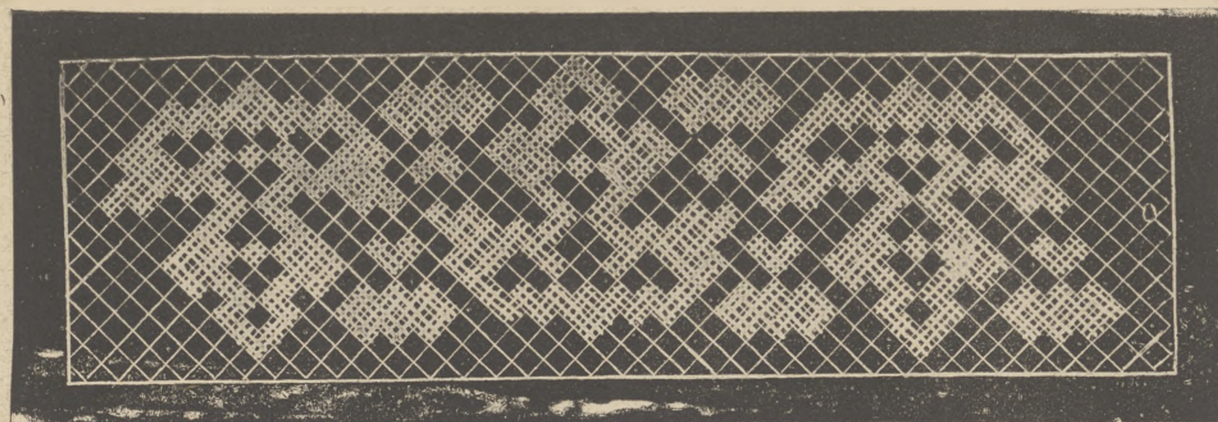


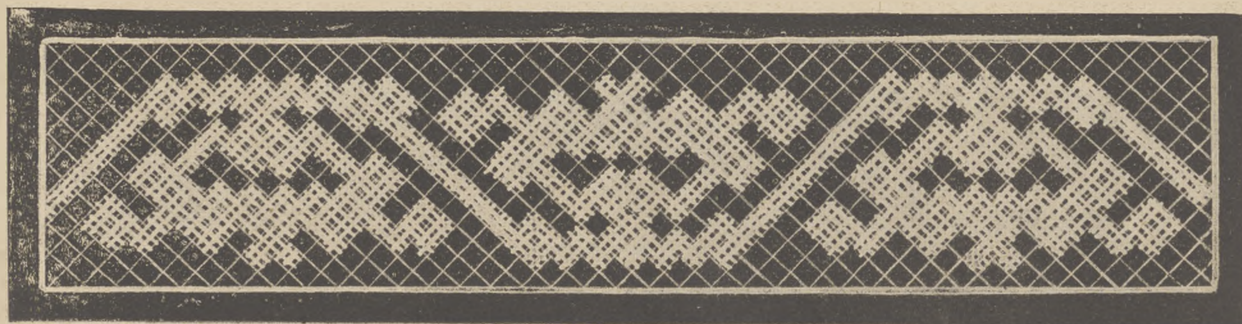
Rys. 225



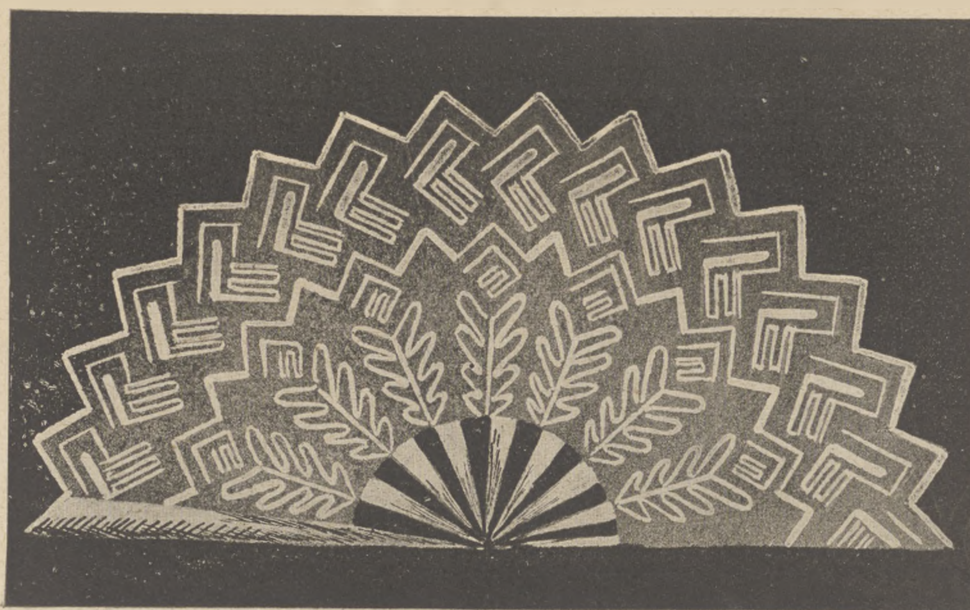
Rys. 226

Rys. 222 — 226. — Opisy i wzory naturalnej wielkości na „Dodatku" dołączonym do niniejszego numeru.



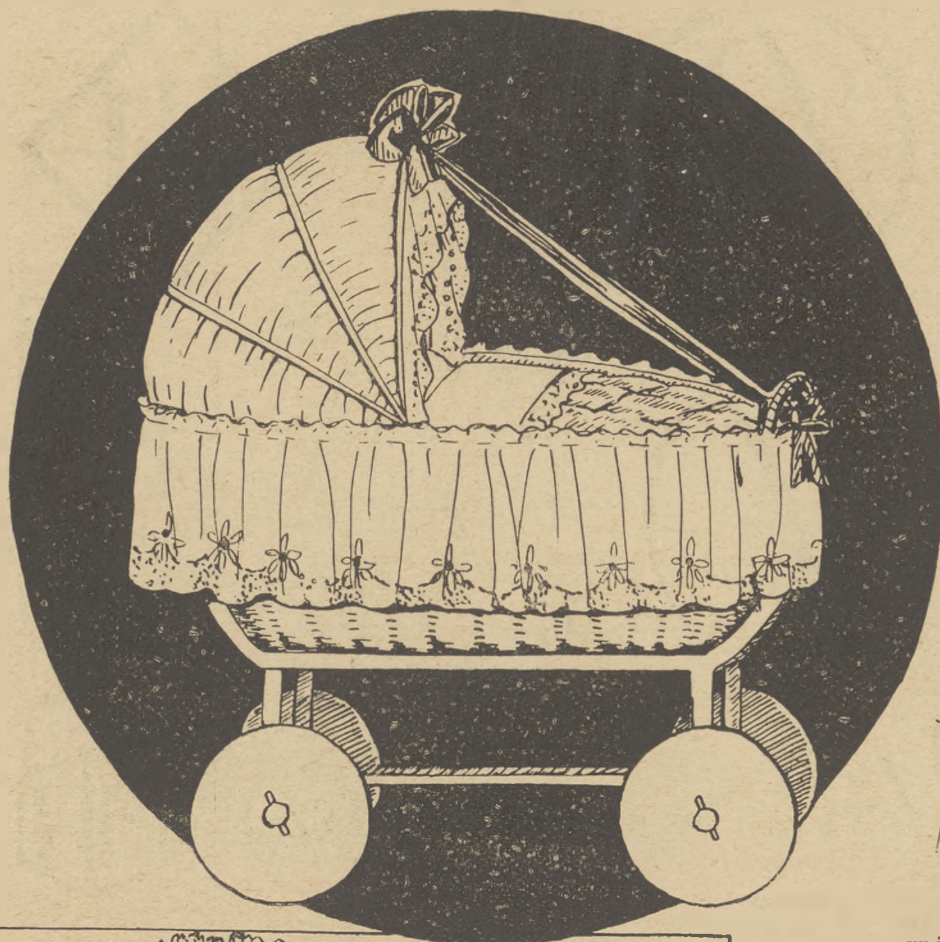


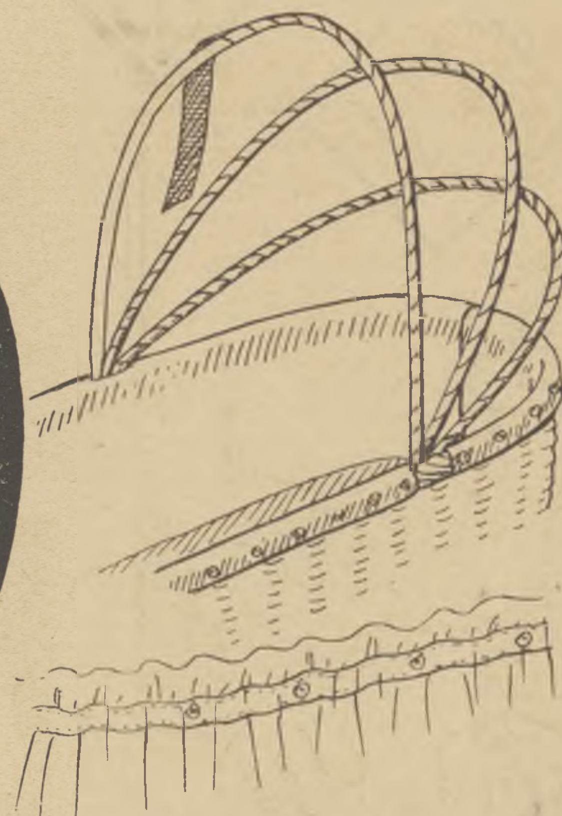
Rys. 227 i 228. — Wstawki filet; ścieg cerowany. — Proj. prof. S. Kacprowski

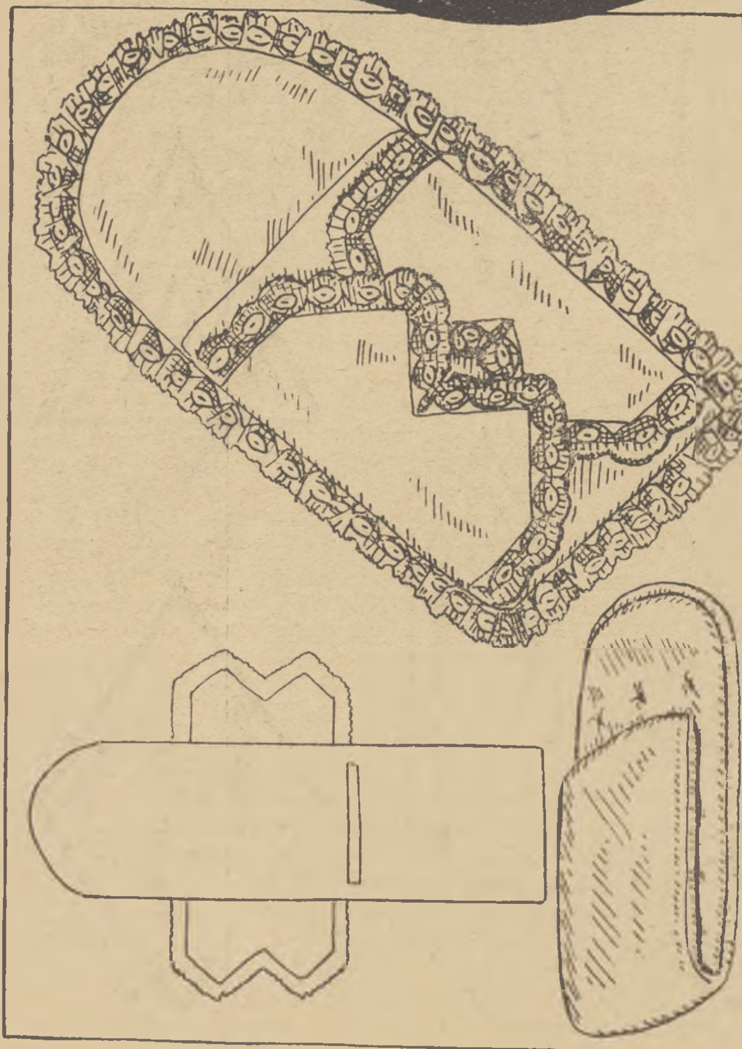


Rys. 229. — Wachlarz z gęstego tiulu, wykonany metodą podrysowania. — Proj. prof. S. Kacprowski









WÓZEK POKOJOWY I PODUSZECZKA

Zarzucono kolebki do kołysania ze względów zdrowotnych. Zamiast tego używa się koszyczków umieszczonych na stelażu z kółkami. Koszyczek taki jest tani i łatwo daje się wymyć. Stelaż zrobi każdy stolarz, albo stelmach, według naszego rysunku. Nie powinien on być zanadto niski, jak to się często widuje, tylko tak wysoki, żeby matka nie potrzebowała się zbytnio schylać i żeby maleństwo nie było wystawione na zimny przewiew nad podłogą. Kółka są z drzewa, zupełnie prymitywne. Koszyczek przyśrubowany od wnętrza do stelażu. U wezgłowia umieszcza się budkę z trzciny albo innych prętów z pomocą ruchomych nitów. Pręty trzeba owinąć tasiemką albo płótnem ciętem wukos, gdyż do nich przyszywa się marszczone pokrycie budki. Wewnątrz koszyczek jest wyłożony satyną, uszytą z dna według formy kosza, i z przyszytego do niej długiego pasa, zeszytego u wezgłowia i zakrywającego boki koszyka. Brzeg wychodzi nazewnątrz poza brzeg koszyka i jest opatrzony w duże zatrzaski, na które zapina się falbanę otaczającą koszyk. Brzeg ten jest zacięty w miejscach, gdzie są przytwierdzone pręty budki i rękojeść w nogach.

Falbana może być dłuższa niż na naszym rysunku. Tu chodziło o uwidocznienie stelażu. Przybranie wózka robi się z lekkiego materjału do prania, jak opal, tiul, batyst albo fulardyna i t. p. Może być kolorowy wzorzysty, albo gładki przybrany haftem, łatwym ściegiem ozdobnym, koronką lub marszczeniem i falbankami.

Budkę pokrywa się takim samym materjałem i przytwierdza wstążką i kokardami.

Czworograniaste poduszeczki, których 1 róg jest zakończony falbanką, wyszły już z użycia, bo krępują dziecko zanadto. Podłużne poduszeczki można pięknie przybrać. Na stronie wewnętrznej znajduje się otwór do wsunięcia poduszeczki albo materacyka z włosienia lub wełny, uwidocznionego u dołu. Jeżeli stosujemy włosień, wypychamy nim tylko dolną część materacyka, górna zaś przeznaczona do przykrycia będzie napełniona pierzem lub wełną.

Z. KULCZYCKA

KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO



Ścisłe oczka nazywa się także: niskie słupki. Półsłupki natomiast są nawijane, t. zn. przed wbiciem szydełka nawija się nitkę raz na szydełko, wbija w oczko, następnie przewleka nitkę odrazu przez wszystkie oczka na szydełku (rys. 18). Zwyczajne słupki nawija się tak samo, ale przewleka nitkę raz przez 1 oczko (rys. 19), a drugi raz przez resztę oczek pozostałych na szydełku. Wzory wrabia się temi słupkami tak samo, jak ścisłemi oczkami. A więc nieużyte chwilowo nitki prowadzi się dalej wzdłuż niższego rzędu i ujmuje w słupki, zmieniając kolory według wzoru (rys. 20).

Najczęściej stosuje się w robotach szydełkowych słupki raz nawijane. Półsłupki znajdują zastosowanie tam, gdzie chodzi o to, żeby robota była bardzo gęsta. Przy wrabianiu wzorów należy zawsze ściśle szydełkować, żeby nitki innych kolorów były szczelnie zakryte słupkami. Na rysunku są one umyślnie uwidocznione dla lepszej demonstracji, ale w rzeczywistości nitki te nie powinny być widoczne.

Naszą kamizelkę wykonano kolorem sarnim i zielonym na tle jasnem beige. Wzór poniżej podany robi się w ten sposób, że dolny brzeg przodu rozpoczyna się w połowie motywu. Na 1 kwadracik wzoru liczy się 4 słupki. Części kamizelki robi się podług kroju z papieru, następnie zeszywa boki i ramiona, i otacza brzegi bortą robioną w kolorze tła półsłupkami.

Oryginalny jumper ma na jasnem tle ukośne pasy w odmiennych kolorach, które mogą być stonowane albo wręcz odmienne i żywe, co daje niezwykły efekt. Pasy te można robić en forme tak samo, jak rys. 15 i 15 a w n-rze 12, tylko słupkami raz nawijanemi, albo sposobem uwidocznionym na rys. 20 niniejszego numeru. W takim jednak razie trzebaby tło robić podwójną nitką, gdyż wzór robiony z tyłu kolorów wypadłby za grubo w stosunku do tła. Wycięcie szyi i dolny brzeg wykończony bortą robioną półsłupkami, rękawy mają mankiety podobne do garnituru. Pasek skórkowy w kolorze tła albo w jednym z kolorów wzoru.

Sukienka ze staniczkiem wzorzystym zrobiona również podług formy. Wzór bardzo łatwy, 7 słupków kolorową nitką, drugi rząd: 5 sł. kol., z tych 2 wysunięte przed kolorowe słupki pierwszego rzędu; 3 sł. w kolorze tła, 5 sł. kol.; 3 rząd: 7 sł. kol. w środku pod drugim rzędem. Między każdym wzorem 17 słupków tła wzgl. 5 rzędów słupków w górę. Staniczek ma rękawki kimono robione łącznie albo potem dorabiane. Spodniczka zrobiona osobno, nieco szersza od staniczka, lekko przymarszczona i przyszyta.

Przy robocie szydełkowej należy pamiętać, że inaczej wyglądają słupki albo ściśle oczka robione wokoło, a inaczej robione tam i zpowrotem z obracaniem roboty. To też nie można np. robić jumpera dołem wokoło, a później ze względu na otwory na rękawy i szyję każdą część oddzielnie, bo robota byłaby niejednakowa. Dlatego musi się robić każdą część osobno, a potem łączyć szwem bocznym i na ramieniu. Z tych samych względów nie można robić rękawów wokoło, tylko trzeba je szydełkować tam i zpowrotem, a następnie zeszyć jak rękaw z materji.

Wszystkie te modele można wykonać także na drutach.

Z. KULCZYCKA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

POTRAWY DLA DZIECI. Pisaliśmy już na tem miejscu o pożywieniu niemowląt. Chcemy obecnie poruszyć kwestję odżywiania dzieci nieco starszych.

Gdy dziecko dostaje ząbki, daje mu się stopniowo coraz więcej różnorodnych potraw. Do 2 lat ograniczamy je do jarzyn, potraw z mleka i mąki, a nie dajemy mięsa zupełnie, jaja zaś bardzo rzadko. Jarzyny sporządza się bez ostrych przypraw. Po szybkiem ale starannem umyciu dusić je w małej ilości słabo posolonej wody. Gdy zmiękną, przetrzeć przez sito, dla starszych zemleć, rozprowadzić odrobiną mleka, czasem dodać surowe żółtko. Kaszki gotowane na mleku, kompoty i surowe soki owocowe a później owoce uzupełniają jadłospis małego dziecka.

Kawa, herbata i większe ilości kakao są bezwarunkowo szkodliwe. Jeśli dziecko nie lubi przez jakiś okres czasu mleka, można mu dawać kawę słodową albo żołędziową, herbatkę z liści orzechowych, rumianku, mięty albo liści ożyn, oczywiście z mlekiem albo lepiej z miodem, przyczem mleka będą 2—3 części na 1 część kawy czy herbaty.

Po drugim roku życia można już czasem dać po 1 jajku, ale niezbyt często ze względu na znaczną zawartość białka, różne zupy, wszelkie jarzyny, owoce strączkowe możliwe bez łupinki, wszelkie mączne potrawy jak kluski, pierogi itp. oraz dużo owoców. Dzieci instynktownie pożądają cukru w dużych ilościach. Jednakowoż nie należy go dawać pod postacią cukierków częstokroć zafarbowanych i zaprawionych różnemi esencjami, lecz podawać w kompotach, marmeladach i leguminach, ciastkach lekkostrawnych i jako miód.

Po 6-tym roku życia dziecko zaczyna uczęszczać do szkoły i pracować. Trzeba więc przypilnować, żeby dostatecznie było odżywiane. Zwolennicy mięsa dadzą teraz już mięso, ale możliwie nie codziennie a już nigdy 2 razy dziennie. Dzieci zresztą same najczęściej nie pragną dużo mięsa, a wolą potrawy mączne, owoce i pieczywo.

Dzieci w wieku szkolnym zazwyczaj za mało jadają na pierwsze śniadanie. W Anglji i Ameryce pierwsze śniadanie składa się tak dla dorosłych jak i dla dzieci z gęstej zupy, z płatków owsianych, z toastu (zrumienionego chleba), a dorośli dostają do tego jaja albo zimne mięso lub wędliny i owoce. Drugie śniadanie do szkoły powinno być urozmaicone, żeby dzieci chętnie je jadły i nie przynosiły zpowrotem do domu. Sama bułka lub chleb czemś przełożone sprzykrzą się zczasem, to też dodaje się owoców, pomidorów a czasem jakiś słodki przysmak.

Dzieci nie będą grymasiły przy jedzeniu, jeśli matka stara się o odmianę i jeśli podaje potrawy w apetytnej i zachęcającej formie.

KILKA PRZEPISÓW DLA MAŁYCH DZIECI. Palony grysik. Zgotować 3 dkg grysiku na kwaterce mleka, posolić i pocukrzyć. Wyłożyć do salaterki, posypać cukrem i przypalić rozpaloną łopatką, aż cukier się zrumieni na karmel.

Wypiekane płatki owsiane albo owsiany ryż. Zgotować 3 dkg płatków albo ryżu na ½ kwaterce mleka, pocukrzyć i wystudzić. Utrzeć żółtko, wmieszać, dodać pianę z białka, wypiec i podać z kompotem albo ze sokiem.

Zapiekanki z jarzyn. Ugotować włoszczyznę, odcedzić, drobno posiekać, dodać soli i żółtko, formować sznycelki i usmażyć. Podać z purée z kartofli.

Zimny grysik z owocami. Zgotować 5 dkg grysiku (manny) na kwaterce mleka, dodać cukru. Wyłożyć foremkę owocami z kompotu albo konfiturami, napełnić grysikiem, wystudzić, wyrzucić na talerz i podać ze sokiem z kompotu.

Galaretka malinowa. Zagotować ¼ l soku malinowego z ¼ wody i sokiem z ½ cytryny. Dodać 3 łyżki mąki kartoflanej albo ryżowej rozprowadzonej zimną wodą, mieszać na ogniu, aż masa zgęstnieje. Wylać do formy wyłożonej biszkoptami, zastudzić i wyrzucić na półmisek.

Zimny ryż albo sago. Ugotować 10 dkg ryżu albo sago z cukrem do smaku, dodać 1½ listka żelatyny, żółtko i pianę z białka. Dwie trzecie masy wymieszać z tartą czekoladą, włożyć do wypłókanej formy połowę ciemnej masy, na to biały ryż, na wierzch ciemny, zastudzić i wyrzucić. Podać z sokiem albo sosem waniljowym.

Legumina na imieniny albo zabawę dziecięcą. Obrać kasztany, zaparzyć, ściągnąć skórkę wewnętrzną, ugotować i przetrzeć. Zrobić gęsty syrup (do nitki), zmieszać z kasztanami na gęste ciasto, przecisnąć przez tarko albo durszlak na płaską miskę jako ryż. Z tej samej masy uformować bałwana, postawić w pośrodku, suto posypać cukrem. Przybrać czekoladą przeciśniętą przez trąbkę papierową. Naokoło półmiska ułożyć kulki z powyższej masy i również posypać miałkim cukrem. Osobno podać sos czekoladowy.

TOWAROZNAWSTWO

Noże kuchenne powinny być sporządzone z mocnej i giętkiej stali. Okładzinki z twardego drzewa przynitowane do przedłużenia ostrza są praktyczniejsze niż trzonki wprawiane. Powinno się uważać, żeby przedłużenie ostrza przechodziło wzdłuż całej długości okładek, inaczej nóż nie posiada dostatecznej trwałości i mocy. Prócz zwykłych noży kuchennych do krajania i siekania istnieją specjalne nożyki do obierania ziemniaków, ogórków i owoców. Lepszy gatunek takich nożyków składa się z mocnych ramek zakończonych ostrym końcem i z dwusiecznego ostrza przyśrubowanego do ramek z pomocą mosiężnych śrubek. Tego rodzaju nożyki są bardzo praktyczne, bo można je ostrzyć i nadzwyczaj trwałe, gdyż sporządza się je tylko z najlepszego materjału. Inne nożyki są wprawdzie tańsze, ale psują się szybko. Do krajania fasolki zielonej, marchwi itp. można dostać specjalne nożyki, albo szatkowniczki.

Drewniane łyżki kuchenne są najodpowiedniejsze, gdyż pod wpływem metali niektóre potrawy zmieniają barwę, inne znów rozpuszczają cząstki ołowiu zawarte w prostych łyżkach metalowych, co działa ujemnie na zdrowie. Miękkie drzewo nie nadaje się na łyżki i inne przybory kuchenne. Najczęściej sporządza się je z drzewa bukowego, które jednak jest ciemne. Drzewo jesionowe i klonowe natomiast pozostaje białe. Kołotewki z jednego kawałka są trwalsze od złożonych z trzonka i główki. Części metalowe przy kołotewkach psują czasem smak potraw, dlatego nie można ich polecić. Wogóle trzeba być ostrożną przy kupowaniu metalowych przyborów kuchennych.

Wszelkie sprężynki, trzepaczki do ubijania, maszynki do przecierania i mielenia itp. powinno się kupować w najlepszym gatunku, pokryte grubą warstwą błyszczącej cyny, gdyż jak wspomnieliśmy już dawniej, domieszka ołowiu psuje smak, barwę i zdrowotność potraw. Jeśli przedmioty te rysują papier jak ołówek, nie nadają się do użytku.

Wałki do ciasta podobnie jak łyżki są z drzewa twardego albo miękkiego. Przyjemne w użyciu są wałki ruchomo przytwierdzone do rączek. Nie nadwerężają tak rąk jak inne. Czyste, zatem higjeniczne, są wałki porcelanowe.

Uwagi na czasie

Prąd współczesnej wiedzy dąży do zwolnienia ludzkości od szkodliwego szablonu leczenia chorób oraz pielęgnowania urody. Niechaj zatem i ci, którzy do wsi lub w. góry wyjeżdżają, zasięgną porady swego lekarza w kierunku trybu życia, słonecznych i rzecznych kąpieli, diety itd. Zarówno ostrzegam przed bezkrytycznym doborem balastu różnorodnych bezcelowych a zbyt często szkodliwych preparatów kosmetycznych. Wyjeżdżając na wieś, wystarcza zabrać ze sobą te higjeniczne środki do pielęgnowania urody, których wymagają: indywidualne potrzeby i zwiększona ciepłota pory letniej. A zatem przedewszystkiem kilka torebek Shampoonu Dra Lustra, następnie do pielęgnowania tłustej cery: proszek marmurowy „Miraculum", odtłuszczający puder higjeniczny Dra Lustra i flaszeczkę rozczynu wody borowej ze spirytusem, po równych częściach. Dla prawidłowej i suchej cery polecam krem „Mira" Dra Lustra, tudzież z jego przepisu otrąbki migdałowe i puder egzotyczny. Wystrzegać się naświetlania włosów i twarzy słońcem oraz odtłuszczania włosów pudrem.

957 Dr Z. B.

Stolniczki do mięsa sporządza się z drzewa dębowego, gdyż muszą być bardzo mocne. Jeśli mają wyższe brzegi z 3 stron, trzeba uważać, żeby były wycięte łącznie ze stolniczką z jednej deski, albo bardzo szczelnie przyprawione, bo w szparach nie dających się łatwo oczyścić gnieździ się robactwo i szkodliwe dla zdrowia drobnoustroje.

Stolniczki do ciasta z jednej deski sporządzone są trwalsze od złożonych, ale dla uniknięcia paczenia się muszą mieć na bokach listwy szczelnie przyprawione. Drzewo może być miękkie, choć trwalsze są oczywiście twarde gatunki.

Dawniej używano chętnie drewnianych cebrzyków do mycia naczynia. Były one bardzo trwałe, ale nie można ich tak czysto utrzymywać, jak metalowe i polewane. Wieczne są cebrzyki z blachy cynowej albo cynkowej, tylko nie należy ich czyścić kwasem solnym, jak to chętnie czyni służba, lecz piaskiem albo skrzypem. To samo tyczy się balij do prania. Drewniane balje są wprawdzie trwałe, ale trzeba uważać, żeby nie wyschły, albo nie zgniły. Obręcze balij drewnianych powinno się powlekać lakierem do żelaza, żeby je ochronić przed rdzewieniem. Praktyczne są balje wanienkowe podłużne, gdyż zabierają mało miejsca. Wysokie balje podobne do cebrzyków nadają się do namoczenia bielizny i do zaparzania. Przy kupnie drewnianych balij musi się je dokładnie obejrzeć, gdyż czasem deszczułki zawierają miejsca nieco spróchniałe. Wanny drewniane są niehigjeniczne.

S z t u ć c e. Najtrwalsze i najhigjeniczniejsze ale zarazem najdroższe są sztućce ze srebra. Większość potraw nie zmienia ich, one znów nie wpływają ujemnie na potrawy. Pod wpływem kwasów i siarki ciemnieją, ale można je łatwo odczyścić. Do jaj nie należy ich używać, gdyż czernieją od zawartej w nich siarki; zamiast srebrnych używa się łyżeczek kościanych, rogowych albo szklanych.

Tak zwane „nowe srebro“ czyli argentan, którem zastępuje się srebro prawdziwe, jest aljażem miedzi, cyny i niklu. Istnieją różne gatunki tych stopów, np. francuski Alfenide, angielski Christofle, niemiecki Alpakka, argentan, pankfong, chińskie srebro i różne inne. Niektóre z tych metali posrebrza się. W Polsce najbardziej rozwinięty jest ten przemysł w Królestwie i w Krakowie. Na sztućcach posrebrzanych wybija się prócz marki fabrycznej stampilję z ilością gramów srebra zużytego na posrebrzenie jednego tuzina. Oczywiście istnieją lepsze i gorsze gatunki „nowego“ srebra. Im bielszy i bardziej podobny do srebra, tem droższy jest metal.

Prócz sztućców całych z metali sprzedaje się noże i widelce o trzonkach drewnianych, kościanych i innych. Drewniane trzonki o tyle niepraktyczne, że czasem pękają albo tracą kolor. Żelazne trzonki poniklowane znowuż rdzewieją, jeśli powłoka niklu jest zbyt cienka. Ostrza łatwo wysuwają się z trzonków, szczególnie pod wpływem gorąca, jeśli przedłużenie ostrza nie przechodzi przez całą długość trzonka i jeśli nie jest na przeciwnym końcu przytwierdzone z pomocą blaszki albo nitu ołowianego.

Przy kupnie sztućców nie wystarczy zwrócić uwagę tylko na użyty materjał, trzeba także uwzględnić kształt. Głębokie i kanciaste rzeźbienia są niepraktyczne, gdyż trudno je czyścić. Cienkie u nasady trzonki trudno trzymać, nie można niemi mocno krajać, bo wykręcają się pod naciskiem. Ostrza wklęśle szlifowane łatwo się szczerbią i zginają. Brzeg ostrza powinien być nieco ścięty na końcu, gdyż łatwiej krajać takim nożem, jak nożem tylko trochę zaokrąglonym.

Wszelkie ostre kanty i rogi niszczą ścierki i łatwo ranią ręce, dlatego należy zwrócić uwagę na nasadę ostrzy, która powinna być zaokrąglona, i na zęby widelców, które nie powinny być kanciaste, tylko okrągłe i szeroko rozstawione dla łatwiejszego czyszczenia.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

RÓŻA MASŁOWSKA. — Polecamy Pani kupowanie herbaty w krajowem opakowaniu. Dobroć jej i gatunek jest ten sam, co w angielskiem lub niemieckiem opakowaniu, z tą tylko różnicą, że cena jest niższa, gdyż odpada cło. Wszak herbata nie rośnie w Anglji ani w Niemczech lecz sprowadzana jest z różnych plantacyj. Po bliższe informacje należy się zwrócić do n a j s t a r s z e j i n a j s o l i d n i e j s z e j K r a j o w e j H u r t o w n i H e r b a t y S p ó ł k a A k c y j n a, W a r s z a w a, M i o d o w a 25.

P. DZIEDUSZYCKA. — Fotel gobelinowy da się pięknie odczyścić benzyną, która nie szkodzi ani wełnie, ani bawełnie. Materjał gobelinowy czysto wełniany jest bardzo trwały; natomiast bawełniany szybko wyciera się i zmienia kolor. Przy czyszczeniu benzyną trzeba uważać, by nie zaciekła i nie potworzyła kręgów. Należy zatem lekko tylko zwilżać wacik lub płatek w benzynie, tak by nie ociekała, pocierać nim delikatnie i zabrudzony zaraz zmieniać na czysty. Benzyna znakomicie usuwa brud, barw nie zmienia i materjału nie nadweręża. Inny sposób: 1 część amonjaku w płynie na 10 części wody; czyścić zwilżonym wacikiem, wytrzeć lnianym płatkiem zwilżonym w czystej wodzie, a następnie suchym płatkiem. P r z e p i s y o c z y s z c z e n i u p l a m w s z e l k i e g o r o d z a j u z n a j d z i e P a n i w II, III i IV A l m a n a c h u Ś w i a t a K o b i e c e g o.

P. Z. RASTAWIECKA. — Fachowych wskazówek nie udzielimy Pani, gdyż tego działu nie prowadzimy. Natomiast odniosą oboje Państwo poważne korzyści z przeczytania książki świeżo wydanej nakł. K s i ę g a r n i B. P o ł o n i e c k i e g o, L w ó w - W a r s z a w a, W i l c z a 3. Jest nią: B u d o w n i c t w o, Inż. D. Krzyczkowskiego. Napisana wprawdzie dla jednostek kształcących się fachowo, ale każdego inteligentnego człowieka pouczy, czego się przy budowie domu wystrzegać należy i jak się nie dać „nabrać“ tym, którzy lubią wyzyskiwać sytuację.

A. CZ. — Sądzimy, że w opisanych warunkach najlepiej będzie wybrać popielatą flanelkę, która obecnie należy do najmodniejszych materjałów na kostjumy i komplety sportowe, poranne i podróżne. Kostjumy miejskie jedno i dwurzędowe również są noszone i mają bardzo wytworną markę. Popielatą flanelkę ożywia kolor czerwony, lub biały z czerwonym, i tak np.: Kostjum lub płaszcz popielaty — beret czerwony i bluzka wyaplikowana pasami czerwonemi; albo szal czerwony w białe grochy lub białe, czerwone i czarne pasy czy kraty i tym samym materjałem przybrany kapelusz. Przy kompletach ciekawie wygląda następująca kombinacja barw: kapelusz i cape z popielatej flanelki, plisowana spodniczka i bluzka biała, kamizelka czerwona; kapelusz opasany czerwoną i popielatą wstążką. Zwracamy uwagę, że powodzeniem cieszą się kapelusze z materjału kostjumu lub płaszcza; są to przeważnie klosze z opuszczoną lub z przodu ostro wgórę zagiętą kresą, którą często zdobi steben.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Z drukarni Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Telefon redakcji: 48-34